



# PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

## Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych  
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;  
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

## Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POSTACIE NIEWIEŚCIE

### TASSA

(Jerozolima wyzwolona)

przez

**Helenę Ceysynger.**

II.

### Klorynda.

Działo się to w XII-tem stuleciu ery chrześcijańskiej.

Bujna, niepomahowana żywotność owych wieków młodzieńczych odmalował nam poeta całą w tej postaci półmęskiej, półdziewiczej „co szła w boje, jak na gody.”

Rodzinnym krajem Kloryndy była Etyopja.

Tam król chrześcijanin miał za małżonkę, młodą, piękną i bogobojną niewiastę.

Zazdrość i podejrzliwość potworną mieszał ów król do swoich miłosnych zapalów: gdy więc w kraju czarnych ludzi królowa powiła dziecko o cerze białej, nie śmiała pokazać go mężowi i inną równego wieku dziewczkę za córkę swą podawszy, niemowlę własne powierzyła staremu niewolnikowi i łzami zalana rozkazała unieść je w oddalone strony świata. Sierocem niemowlęciem tem była Klorynda.

Stary sługa zabrał dziecko ukochanej pani i powędrował z nim w niedostępne dzikie ustronia. Tam pewnego dnia wśród lasu zastąpiła mu drogę gniewna tygrysica. Trwogą owładnięty, schronił się na drzewo, porzuciwszy na ziemię bezbronną

dziecinę. Cudem jednak, z jakiego w wielu spotykamy się mytach, tygrysica, nie tylko nie uczyniła krzywdy dziewczeczce, ale własnem nakarmiwszy ją mlekiem, odeszła w spokoju.

Zdumiony widokiem tym starzec podjął nanowo cudownie ocalone dziecko i zaniósł je do Egiptu, w swoje strony rodzinne, tając przed wszystkimi, i przed Kloryndą samą, niezwykłą jej historią i pochodzenie.

Z pieczołowitością ojca i pokorą sługi czuwał odtąd nad małą królewną, na jednym punkcie tylko nie stosując się do woli swej dawnej pani; oto nie kazał jej ochrzcić, jak sobie tego życzyła nieszczęśliwa matka.

Klorynda rosła zatem na poganke, a widąc wraz z mlekiem dzikiej królowej puszczy, nadludzkie siły wyssało to dziecko, wiek niezwykle jakieś popędy rozwijać w niej zaczął: pogardza dziewczę igitą i wrzecionem, rycerskich dla siebie wyszukując zabaw. Śmiała łowczyni z oszczepem w ręku przebiega knieje, spalone piaski pustyń i gór niedostępne urwiska. Otwarta, wolna! przetrzeń ją pociąga, wieher stepowy jej bratem, walka ulubionym żywiołem.

Zawczasu rzuca się w wir bitew, nieustraszoną, z godłem tygrysicy na helmie dalekie i niebezpieczne odbywa wyprawy, najpierwszym mężom nie ustępując w dziele rycerskiem.

Oddawna już Wschód cały rozbrzmiewał jej sławę wojenną, gdy wraz ze wstąpieniem na ziemię muzułmańską chrześcijańskich zastępów nowe do wielkich czynów otwarto jej pole.

Po raz pierwszy z imieniem i postacią Kloryndy spotykamy się w Tassa, gdy wyliczając po kolei pierwszorzędných bohaterów armii krzyżowej, jednemu z nich, Tankredowi de Hauteville zarzuca, iż od pierwszego wejścia rozmawiał się w pogance, która na koniu, w pełnej zbroi z odkrytą tylko twarzą ukazała mu się u źródła, gdy zmęczony pościgiem za nieprzyjaciółmi przystanął na chwilowy odpoczynek.

Dalej widzimy ją w scenie męczeństwa Sofronii, wzruszoną stoicyzmem i egzaltacją chrześcijanki. Później od czasu do czasu już tylko w zgiełku bitew, tylko wśród wrzasków morderczych szturmów i bohaterskich wycieczek miga nam jej postać jasna a krwawa. Bo ta dziewczyna nie na żarty rzemiosło rycerskie traktuje i nie łatwo twórcy rapsodu wyliczyć, ilu najdzielniejszych rycerzy dłoń jej dziewczęca wyprawiła na tamten świat.

Raz wśród walki miecz jej o miecz Tankreda uderzył. Wprawnym ciosem rzucił jej rycerz od razu helm z głowy i włos długi płowy zpod helma rozsypał się po zbroi.

Poznał Tankred piękne, nieustraszone oblicze i chciał uniknąć walki z jasnowłosą, ale próżne jego usiłowania. Zawzięta dziewczka naciera nań coraz natarczywiej i ujęć mu nie pozwala. W końcu opuścił już rycerz miecz i pierś bezbronną na ciosy nieublagane wystawił.

Długo mówił zdumionej tym obrotem sprawy Kloryndzie o miłości swojej, o śmierci, która mu stała się pożądaną odkąd ona serce mu zabrała.

Byłby mówił jeszcze dłużej — dodaje poeta — gdyby nie rozdzielił ich tłum waleczących.

A właśnie Chrześcijanie siedli na karku Muzułmanom i pędzili strwożonych ku murom miasta. Jeden ze ścigających, człowiek okrutny i nieczuły, ujrzał Kloryndę bez helmu. Korzystając z tej bezbronności wznosił miecz nad odkrytą głowę bohaterki, ale w chwili gdy zadać miał cios śmiertelny, poskoczył Tankred i odbił ciecę; kilka rubinowych kropli krwi zabarwiło jednak złote włosy dziewczęcy. Lekko tylko zadrażnięta Klorynda doprowadza do porządku uciekające wojska muzułmańskie i, zasłaniając sama odwrót, cofa się w mury Jerozolimy.

Nie można odmówić oryginalności i wdzięku tej scenie oświadczeń miłosnych na polu bitwy. Mniej to banalne, niż widok podobnych wynurzeń współczesnych, gdy bohater „fin de siècle” we fraku na

posadźce salonu przykłęka przed bohaterką w turniurze.

Ale wróćmy do Kloryndy. Oddychajmy jeszcze chwilę świeżem wiosennem tchnieniem heroicznych stuleci.

Legł z jej ręki w ciągu obłęzenia stary Ardelio i dobry Rudolf i Berlingier i wielu innych najprzedniejszych rycerzy. Nawet niepokonany Godfryd de Bouillon, wódz Chrześcijan, strząsał jej boleśnie zraniony został. Ale tych tryumfów i chwały za mało jeszcze niepojętej istocie. Niesłuszne robi sobie wyrzuty, że póki szło o łowy, dorównywała mężczyznom, ale na wojnie między mężczyznami okazała się białogłową. Zapalona ogniem bitew jej wyobraźnia, już teraz boju i walk i sławy niesyła — marzy o jakimś wielkim bezprzykładnym czynie, któryby ciężką klęskę sprowadził na Chrześcijan.

Znajdowała się w obozie obłędnym machina, która zamkniętym w murach Jeruzolimy Muzułmanom nieraz gorzko dała się we znaki. Tę wieść zamierza spalić Klorynda i zamiar swój wyjawia Argantowi, jednemu z pierwszych wojowników mahometańskich, stałemu swemu towarzyszkowi we wszystkich bohaterskich przedsięwzięciach. Argant zapala się do podjętej przez dziewczę myśli i chce tym razem także podzielić z nią niebezpieczeństwa i sławę. Aladyn pochwała ich zamiar i obiecuje czuwać z wojskiem przy otwartej bramie, by w mgnieniu oka skoczyć z pomocą zagrożonemu zemstą Krzyżowców bohaterom.

W tej stanowczej chwili swego życia dowiaduje się Klorynda po raz pierwszy z ust wiernego niewolnika o swem pochodzeniu. Ale ani błagania starca, ani jego przedstawienia, że zrodzonej z rodziców chrześcijańskich nie godzi się tyle krwi wyznawców Jezusa przelewać, nie mogą złamać jej postanowienia. Przebrana, odrzuciwszy dla niepoznaki wszystkie noszone przez siebie godła, wyrusza nocą wraz z Argantem na podstępny wycieczkę. Udał się zamiar. Wieża spalona, ku wielkiej rozpaczy ze snu zrywających się Chrześcijan, a tryumfowi Muzułmanów. Ale w zamieszaniu dorywczej walki, która zawiązała się u bram miasta, nie spostrzegł nikt, że Klorynda, w zapale wojennym trzem po kolei rycerzom chrześcijańskim śmierć zadawszy, nie zdążyła ujsć razem z innymi. Zatrzaśnięto bramę, Klorynda pozostała zewnątrz murów. Ujrzał ją Tankred i w walecznym rębaczu tym nie poznawszy ukochanej, niemniej uznał go za przeciwnika, z którym się walczy jak równy z równym.

I rozpoczęła się walka godna Homera. Któż tam cięcia mieczów policzy, kto całe ich mistrzostwo i entuzjazm bojowy obojga wypowie?

Trzy razy w żelazne ramiona obejmował ją rycerz i trzy razy potrafiła mu się wyrwać z rąk.

W końcu jutrzienka zaczęła już rozjaśniać nocną pomrokę, gdy oboje spracowani, oboje zbroczeni krwią, wsparli się na mieczach, by wytehnąć chwilę. Tankred ujrzał wtedy z radością, że przeciwnik jego więcej od niego krwi utracił, ale przejęty uszanowaniem dla jego zalet rycerskich poprosił wroga o wyjawienie mu swego imienia. Jedno słówko — a Klorynda byłaby ocaloną. Ale w cóż wtedy obróciłby się ów honor rycerski, najwyższe bóstwo tej dzikiej burzliwej duszy?

To też taką dumą a śmiałą odpowiedź odbiera Tankred z ust przeciwniczki:

Napróżno żądasz, bym wyjawiał tobie  
Co przed wszystkimi w równej chowam mierze,  
To jedno powiem: masz w mojej osobie  
Tego, co wielką podpałił wam wieżę.

Te słowa rozdmuchują nanowo gniew Tankreda.

Jeszcze jeden cios w pierś nieugiętego pogani-  
na, i Klorynda czuje, że umiera, słania się, miecz  
wypuszcza z dłoni i pada na ziemię.

Ostatnie jej słowa są:

Zwyciężyłeś, przebaczam ci... przebaczyć  
ty... nie ciału... ale duszy mojej przebaczyć!  
Daj jej chrest, który wszystkie maże winy...

Ten głos dziwnie słodki i rzewny trwożnym  
przecuciem przenika serce Tankreda. Zdejmuje  
rannemu hełm, by wodą z pobliskiego źródła dopełnić  
świętej ceremonii i w tym rycerzu, któremu sam życie  
wydarł, poznaje swoją umiłowaną.

Gdy z ust szalejącego z bólesci Tankreda padały  
uroczyste słowa sakramentu, radość nie z tej ziemi  
rozjaśniła twarz umierającej; zimną dłoń podała  
Tankredowi i odeszła z tej ziemi jakby ją zjął  
sen cichy.

Wielka a jasna to postać.

Za prawdziwą zasługę uważać można pocięcie, iż nie  
dał uwieść się pokusie uczynienia bohaterki swej  
bardziej zajmującą i nie wplątał jej w jakiś ro-  
mans powszedni. A niestety, pokusie tej tak mało  
kto oprzeć się umiał!

Czy to będzie Welleda, czy Wanda, czy Joanna,  
autorom ilustrującym najniefortuniej te postacie,  
podobna się zawsze rzucić plamę ziemskiej żądzy  
na niepokalanej białości szatę westalki.

Klorynda jest piękną właśnie przez tę swoją sa-  
motność ducha, tę ciszę serca. Żadnem miłosnem  
marzeniem niezmącona czystość jej myśli niewy-  
słowiony urok dziewictwa nadaje całej postaci.

Dopiero po śmierci, płaszczem gwiaździstym  
okryta, piękniejsza jeszcze, niż za życia, pokazuje  
się Tankredowi we śnie, by mu powiedzieć, że go  
kocha.

Niezależnie od tego poetyczność tej postaci po-  
lega na dziwnym kontraście między krwawym rze-  
miosłem, które sobie obrała, a słodką, nieświadomą  
marzycielską, jakby dziecięcą jeszcze naturą. Chęć  
dostarczenia rys, uważnie wsłuchać się trzeba  
w pieśń poety. Nigdzie prawie nie maluje on nam  
go wyraźnie, ale miękkimi melodyjnymi dźwiękami  
italskiej mowy akcentuje każdy ustęp, w którym  
ta uczuciowa strona jej ducha się objawia.

Tak jest, ta rycerka, gasząca ludzkie żywoty jak  
świece, ma po za bojem łagodność i pogodę dzie-  
cka z powagą męża złączone.

Gdy wraz ze strumieniem krwi, wytoczonym  
dłonią Tankreda, kończy się jej piękny rycerski  
sen, dziewczę-wojownik ma dla swego zwycięzcy  
tylko łagodne słowa przebaczenia i prośbę o  
chrest, jakby chęć uczynienia zadość woli matki  
nieznanej.

Nie fanatyzm religijny, nie srogość wrodzona  
wioda ją w bój, na pola śmierci trupami zasłane.  
Motyla tego jakaś wielka nienijeta siła niesie  
w świetlane płomienie sławy, by zgorzał...

Jest dziwna smętność w tym jej locie ku czemuś  
nieznanemu, ku nieszczęściu, ku śmierci.

## DNIE DOROCZNYCH UROCZYSTOŚCI RODZINNYCH

(ze wspomnień młodości).

Czterdziesty rok właśnie upływa od owego dnia  
sierpniowego, gdy sędziwa matrona spracowane  
oczy zamknęła, gdy po długich miesiącach choro-  
by i bolesnego konania śmierć zerwała tę nie  
dziwnie długiego, przeszło stuletniego żywota...

Pamiętam, dobrze pamiętam żałosną dobę, za  
dni pięknej, słonecznej jesieni, kiedy ja w zakon-  
ne szaty po zgonie przedodziano, chociaż całe życie  
w świeckich chodziła, i położono do drewnianej,  
dębowej trumienki, umyślnie od lat wielu przygo-  
towanej... Widywałem tę trumienkę, w ciemnym  
kącie śpiężni ukrytą oddawna i zajmującą tam  
miejsce wcale wybitne, bo obok pamiątek bardzo  
odległej przeszłości domu, obok resztek starych  
mebli — dla których już i zmierzach XVIII wieku  
był doba bardzo młoda — obok starych komódek,  
sepetów i puzder zameczystych, gdzie cenne prze-  
chowywano zabytki z epoki saskiej, z czasów Ka-  
rola XII, z dni pamiętających karłowicki traktat,  
gdy wioska, w której ostatnie pięćdziesiąt pięć  
lat życia przemieszkała pani R., przestała grani-

czyć z Portą Otomańską... Obok wszystkich tych  
zabytków spotykano kurzem ukrytą — trumienkę.  
Ta trumienka, na którą spoglądałem wielokroć  
niby na zabytek przeszłości, gdy mi udało się  
czasem zajrzeć poza okute i wybornie zaryglowa-  
ne drzwi śpiężni, nagle stała się nie prze-  
szłością, nie jakąś abstrakcją, stała się rze-  
czywistością...

Pamiętam, widzę w przezroczach przeszłości,  
widzę dokładnie, niby dobę wczorajszą, chwilę  
dawno ubiegłą, gdy me dzieciinne serce boleść  
ścisnęła niezmierzna na myśl, że w owej malucz-  
kiej dębowej trumience zamknięto jedno z ogniw  
dni ubiegłych. Wszystko to już iustynktow-  
nie rozumiało me serce pacholące, i nie dziwny  
się, że wielka je boleść przytaczała, wi-  
dząc, że dębowa trumienka ze śpiężni, zpośród  
sepetów i gdańskich puzder wyjęto, z kurzu wie-  
loletniego otrząśnięto i ustawiono na niskim  
tapedzianie, okrytym dywanem, w domowej kaplicy...  
Zabytek przeszłości rzeczywistością się stawał...  
Przeczuwała myśl chłopięca, iż z tą trumienką  
znika nagle z powierzchni ziemi bardzo dawny  
obyczaj, a spójnie rodzinne, co się wiązały w je-  
den łuk wspaniały, podpierający sklepienie  
związku rodzinnego, rozluźniają się i runą  
niebawem...

Zacna matrona, chociaż przeszło od stu lat pa-  
trzała na świat, chociaż długi szereg pokoleń prze-  
sunął się przed jej wzrokiem, ostatnie zaś lata  
życia długa, ciężka choroba zatrzała — zachowała  
najzupełniejszą czerstwość umysłu; myśl jej była  
zawsze pogodna; pamięć posiadała nader trwałą  
do ostatniej godziny swego długiego istnienia;  
sama przytem sterując wszystkiem, do wszystkiego  
dokładała swą myśl, acz za lat ostatnich do  
wszystkiego oka przykładać nie zdołała...

Wśród niezliczonych dni życia swego znała  
i wielkość tego świata, i nieobecą była sprawom  
ziemi, wśród których, jak rzekłem, sama stojąc  
u steru spraw i interesów rodziny i domu, całe  
stulecie strawiła... Sprawy prowincji, stosunki  
rodzin, niezatartymi głoskami wyrzyły się w umyśle  
i w pamięci matrony.

Niejedno pokolenie słuchało tych wspomnień  
odzianych w szatę jasną, prawdziwą, chociaż bar-  
dzo rzadko opowieść przeszłości z ust jej wycho-  
dziła... Łączyła się zawsze chętnie z teraźniej-  
szością, dniem dzisiejszym żyła; i spławy,  
i ruch umysłowy teraźniejszości żywo ją  
zajmowały.

Trumnę otaczał długi szereg wnuków i prawnu-  
ków, bliższych i dalszych; bo, wedle obyczaju  
domu, między bliższymi i dalszymi nie czyniono  
nigdy różnicy, nie rozumiano nawet, by jakaś  
różnica mogła istnieć: wszyscy tworzyli niby jedno  
wielkie gniazdo rodzinne, każdy przeto miał nie-  
zaprzeczone prawo do jednakiej miłości, opie-  
ki — każdy pod jej dachem czuł się niby u siebie:  
był swoim, blizkim, każdy najbliższym. W lie-  
bie dalszych nieco wnuków — i ja byłem, nie-  
boszcza bowiem była siostrą mego macierzystego  
dziada.

Jak za życia dom jej tworzył ognisko, około  
którego skupiały się wszystkie odłamy pokrew-  
nych z nią rodów, tak po zgonie, skromna, dre-  
wniana trumienka skupiła wśród ścian jej domo-  
stwa duży zastęp krewnych bliższych i dalszych.  
Dzień jej zgonu dał hasło żałoby dla kilkunastu  
domów... Odtąd zniknął znany obyczaj z dworów  
ze stołami... Od owej pamiętnej mi doby lat bar-  
dzo wiele upłynęło, i już ani razu zastępy tych  
wnuków, prawnuków, praprawnuków i prapra-  
wnuczek nie zebrały się u jednego ogniska — i już  
się nigdy nie zbiorą: przeszłość ich pochłonęła...  
Rozproszyło się to kędyś po świecie, poszło róż-  
nymi drogami życia, pogubiło się, i dziś, jeśli kto  
jeszcze żyje, wzajemnie się nie zna i nie rozumie...  
Wszystkie te ongi pisklęta powiły sobie inne, no-  
we gniazda.

A wieluż wśród nich, i to z szeregów ludzi  
przed czterdziestu, czy też przed pięćdziesięciu  
laty zaliczających się do najmłodszych, śmierć  
zabrała?.. Zaiście, tych mogił doliczyc się już tru-  
dno, taka ich liczba wielka...

W dniu jednak zgonu pani R. wszystko, co  
związane z nią było temi lub owemi węzłami po-  
krewieństwa, czy nawet powinowactwa, jeszcze

poczuwało się do pewnej z sobą łączności, trzymało się pnia starej tradycji rodzinnej, jednocząc się z sobą ściśle i splatając w jedną sieć więzów powoju, który póty rósł i wygodnie się rozpościęrał, póki czas oszczędzał przedniejszą latorośl, tworzącą punkt oparcia się... Wraz z trumną do krainy cieniów i zapomnienia weszły też węzły łączące w jedną całość domy te i rody. Znamiona solidarności pewnego szeregu rodzin — zniknęły...

Pamięć moja dużo zachowała szczegółów rzecznej odległej doby, odległej nietylko czasem, ile odmiennym obyczajem, gdy u ogniska miłego domowego zbiegały się wieczerze, a przynajmniej dwa razy do roku, na święta doroczne, młodsze i starsze pokolenia pokrewnych z nią rodów...

Te doroczne zebrania należały do najświetniejszych: zapiekiwały, ożywiały, rozszerzały ciche i niezbyt nawet obszerne węzły jej domowstwa.

Odwiedziny owe miały miejsce w rozmaitych porach roku, przeważnie jednak dnie dorocznych uroczystości u niej spędzaliśmy, a do takich dni, oprócz Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, zaliczano i 30 Kwietnia, dzień św. Katarzyny Seneńskiej, patronki stuletniej matrony. Odwiedziny trwały zwykle około tygodnia niekiedy i dłużej. Niewielka odległość oddzielała oba domy, zaledwie pięćmiłowa, a jednak i wybór i podróż czemieś zdawały się niezwykłym. Z pewnymi przygotowaniami do wyjazdu przystępowano. Zużywano na przygotowania dni kilka, a krzątanie się domowe, któremu, jak można było mniemać, nie będzie końca, przechodziło z dworu do officyn, odczuwano je w kuchni, stajni, w całym obejściu się domowem. W krzątaniu się tem wszakże nie było pośpiechu, nie wiedzano nic z owej gorączki kolejowej dni dzisiejszych. Śpieszono się, ale — z wolna, poważnie, z namysłem: o niczem tedy nie zapominano, nie nie zgubiono, po nie zapomnianego gońców nie potrzeba było posyłać.

Pośpiech nie wprowadzał żadnego zamętu, ani do głów śpieszących się, ani do porządku domowego. Porządek, ład panował zawsze jednaki; odczuwali tylko najbliżsi, domowi, odczuwali niejako instynktowo, w atmosferze samej, iż chwilowa zapadła cisza w obszernych izbach rozległego dworu, iż chwilowa nadejście przerwa w zwykłym domowym porządku; od zamętu, nieładu, gorączki pośpiechu, chroniono się. Szło więc wszystko zwykłą koleją codziennego ładu, od lat wielu wprowadzonego, szło bez zmiany aż do chwili wyjazdu. A więc teżsame, jak codziennie, konferencye wieczorne z ekonomami, przybywającymi z dalszych folwarków, teżsame audyencye dawane włościanom, teżsame wspólne modlitwy wieczorne z domownikami i czeladzią.

Modlitwy wieczorne — to chwile niezem w pamięci niezatarte. Przesunęły się później przed okiem i zniknęły nazawsze w myśli inne, liczne obrazy ludzi, miejsc i zdarzeń, lecz owe chwile wspólnej wieczornej modlitwy, w dworcu dzia-dowskim, modlitwy gromadki domowników i czeladzi, która po całodziennym, twardym trudzie szukała wypoczynku u stóp obrazu Zbawiciela upadającego pod krzyżem — nie zniknęły, nie pochłonięta ich przeszłość: żyły one wciąż w mej pamięci i w dojrzałych latach życia mego. Widziałem je i w snach późniejszych, za dni innej doli, w młodzieńczej dobie żywota, słyszałem ich dźwięk wyraźnie, nawet wówczas, gdy o nich nie myślałem, słyszałem je w echu pogąńskiej pieśni, kiedy otaczały mnie objawy budańskiej kultury, a pieśń kapłanów Szagiamuniego brzmiała w otaczających przestworzach i wpadała do mego ucha (\*).

Bywały podobne wspólne modlitwy i u pani R., ale nie wiem, czy obejmowały tak szerokie powszechność domową, jak u mego dziadka.

W bawialnym saloniku dziada, utrzymywanym pospolicie nader czysto i porządnie, z pewną nawet elegancją, owych lat — schodzili się domowi wszyscy. Nikogo nigdy tam nie brakło, ruszało wszystko co żyło; nie działał nakaz, przymus;

były znać inne pobudki, które wołały do apelu wszystkich. Żaden i żadna nie zapominali, nie zabaczali, nie spóźniali się: szło wszystko z najdalszych szeregów czeladzi, szło ławą, ochoczo, i zapełniało wielką ciżbą dwa pokoje. Szło śmiało a spokojnie, jak do swej czeladnej izby na folwarku, jak do alkierzy piekarnianych w officynach; nikomu znać na myśl nie przychodziło, że dość wniesie błota do dworskich pokoiów, że splami może lskniące, wyfroterowane tafle posadzki... Wszystko garnęło się do stóp Zbawiciela, który w purpurowej szacie zginał swą majestatyczną głowę pod brzemieniem krzyża.

Ci mali, ubożuchni w tym dobrze sobie znanym obrazie azali nie widzieli odzwierciedlenia własnej, twardej doli?..

I kogoż tam nie było z domowych i czeladzi na owych wieczornych modlitwach?.. W pierwszych szeregach spotykano zawsze fraucymery: przewodniczyła mu poważna usposobieniem i tuszą, berło w garderobie z godnością, ale i grozą, trzymająca, ochmistrzyń; dalej kłęwały, skłonne do chichotania się młode, często ładne twarzyczki panien garderobianych, obok nich klucznica z zastępem dziewczek folwarcznych, dalej kredens ze wszystkimi przedstawicielami swymi, wreszcie czeladź dworska; — ci najdalsi stawiali się pospolicie wszyscy co do jednego. Uznajono ich twarze, sterane biedą, pozbawione wyższej myśli, często prawie zdziczałe, po kwadransie, dwóch — pod wpływem modlitwy — rozpromieniały się, świeciły jakimieś blaskiem, przedtem niespotykanym na tych obliczach stępiatych, nieznających życia innego nad życie znoju ciągłego... Znać coś silniejszego nad blask świec łojowych, którymi wyniosłe izby dworu oświecano, rozpromieniały te postacie: z głębin ich ducha budzącego się pod wpływem modlitwy były promienie jakiegoś niezemskiego blasku, i one-to je, bodaj na chwilę, ożywiały, uszlachetniały... Pieśni adventowe, w mroźne wieczory grudniowe, pieśń o mecie Zbawiciela „co wznosił na krzyż ręce swoje“ — podczas wielkopostnych, ponurych, marcowych wieczorów, rozbrzmiewały wielkiem echem i jednoczyły różnorodną gromadkę w harmonijną całość. W sferze ducha ludzie ci czuli się najzupełniej równymi: wszystko, co świat wznosił, aby ich rozdzielić na stany, na grupy społeczne, pod tchnieniem owej chwili upadało, w proch się rozsypywało...

Zdawało się, patrząc na tę gromadkę rozmodloną, iż tu niema sług i pana, iż wszyscy są jedną rodziną, dziećmi tego, który upada pod brzemieniem krzyża.

Po jednym z takich wieczorów wyruszyliśmy pospolicie na doroczną uroczystość.

Cztery mile lub mało co więcej oddzielały posiadłość staruszki od siedziby jej brata.

Niewielką tę przestrzeń przebywaliśmy dość powoli; starzec bowiem nie znoził bardzo szybkiej podróży: — ręce, dobrze utrzymane jego cugi przyzwyczajone już były do nader powolnej jazdy. Upływało zatem godzin ze cztery, zanim przesunęliśmy się przez pola rozwarte, około gajów, rozrzuconych wśród równin zlekka falujących się, zanim ukazała się naszym oczom tak zwana „grabina“, lasek grabowy, zasadzony przy końcu przeszłego wieku ręką dziedzicki. Poza owym laskiem, jak gdyby chroniąc się od gwaru świata, stał dwór.

Okolica, którą przebiegaliśmy, więcej niż inne zbliżona ku południowym skrajom naszych wódziorów, świeciła rozległymi łanami zbóż wielorakich, a że tam właśnie przebywaliśmy dział wód, więc grunt coraz bardziej stawał się falistym. Na pochyłościach wzgórz częstych, lecz niewyniosłych, rozpostarły się lasy i laski z brzoź i dębów złożone. Im dalej ku południowi, tem większe były gaje, tem okazalsze i głębsze, chociaż nigdzie niepodsiadane drobniejszymi krzewy, świecące wszędzie, to niwą leśną, to kwieciami pól blizkich. Gaje sprawiały wrażenie parków wspaniałych: czysto w nich, przestronnie było, cienisto, zielono, zacisznie, ale i gwarno niekiedy od śpiewu ptaków, od piosenki pastuszków, często smutnej, lecz często i swawolnej, wesołej, od śmiechu szczerzego zbierających jagody, lub śpieszących o zmierzchu dnia wiejskich chłopaków z końmi na pastwiska,

na nocne przy koniach czuwania, gdy to bies płata niekiedy ludziom figle...

„Grabina“, chroniąca od wichrów i mroźnych zawiei, to znikająca poza tym lub owym gajem, wreszcie ukazała się oczom naszym nalewo od gościńca, zdaleka wprawdzie, lecz w całej rozległości. Zdawała się od gościńca jeszcze dość odległą, gdy wyraźnie zarysowała się długa, czarna linia drzew: to aleja lipowa, długa na kilometr, może i więcej, łącząca „Grabinę“ — a więc i bramę wjazdową z gościńcem.

Ta aleja, również jak i lasek grabowy, jak wszystko, co tu ujrzyć mieliśmy, była owocem pracy dłoni, zapobiegliwości, energii, — mrówczej pracy matrony.

Jeszcze chwila, dwie, jeszcze mały wysilek opasłych cugów, jeszcze jeden drugi wysilek fantazyi woźnicy, który z dziwną werwą trząskał z bicia i im bardziej zbliżał się do celu podróży, tem to trząskanie stawało się głośniejszem, tem odbywało się z większą finezyą — i zwracaliśmy z gościńca większego nalewo, w aleję lipową.

Gościńiec podążał ku okolicom południowym, ku wzgórzom i laskom coraz weselszym, ku polom, wodom i wioskom coraz bardziej śmiejącym się, ku odległemu o kilkanaście kilometrów miasteczku, gdzie niedawno, tak jeszcze bardzo niedawno, w zamczku górującym nad granitowymi brzegami rzeki, płynącej w kierunku Pontu, mieszkał — otoczony harem — Basza, co słuchał rozkazów Padyszacha, a sam w grozie i posłuchu trzymał całą tę okolicę... Gościńiec biegł w kierunku prostym, my go żegnaliśmy na rozdru. Kapliczka, z czterech słupków i dachu złożona, a w niej posążek z drzewa ciosany św. Jana Nepomucena, drogoskazem niejako były dla przejeżdżających wśród ciemnych noc i zimowych zawiei. Drogi się tam krzyżowały. Oprócz gościńca, który szerokim pasem zakreślał linią ku rezydentcy Baszów, oprócz zwrotu aleją lipową do dworu p. R., wprawo biegła drożyna do pobliskiej wioski, w owe lata nader głośnie na owem starym otomańskim pograniczu. W tej wioszczynie, w bardzo wyniosłym dworze, z jeszcze bardziej wyniosłą bramą, mieszkał Piotr Czezel, słynny ongi z polowań i z balów, których rozgłosem brzmiała okolica.

Moja pamięć już do dni owych polowań rozgłośnie nie sięga; lecz pamięta jeszcze echo balów starosty, a jeszcze bardziej utkwily w mej myśli wspomnienia pogrzebu, gdy podczas zwykłych w owych okolicach wiosennych roztopów wieziono na wozach, umyślnie ku temu zbudowanych, cały orszak pogrzebowy, składający się przeważnie z tłumnego konduktu duchowieństwa. Te wozy niezwykle, a przynajmniej echo licznych o nich opowiadań, utkwily wybornie w mej pamięci.

Że i polowania, i bale p. Czezela cieszyły się rozgłosem przekraczającym granice prowincyi i kraju, świadczyć wiadomości o nich dość szczegółowe jakiegoś turysty Anglika, umieszczone przed więcej niż pięćdziesięciu laty w nader poważnym miesięczniku — w *Revue Britanique*. Anglik podziwia przedewszystkiem polowania. Mają one dla niego coś wielce oryginalnego, niezwykłego; i nie dziwnego, jeżeli przypomniemy sobie, że rzecz się działa w pierwszych trzech dziesiątkach lat obecnie kończącego się wieku, kiedy jeszcze spotykano dużo fantazyi, gdy chciało i umiano się bawić.

Ludzie owocześni odznaczali się niepospolitą mocą sił ducha i ciała; wszystko, co czynili, czynili z niezwykłym zapalem, wszystko u nich wypływało z głębin serca nader pogodnego. Gorycze wielorakie nie zatruwały znać jeszcze owych umysłów, więc i ochota do piasów była szczerą i również w taniec jak i na dzika lub zwykłego szaraka szło się z dziwnie pogodnym animuszem.

Wnukowie i prawnukowie już podobno tego nie potrafiały.

Maryan Dubiecki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(\*) Patrz „Bluszczy“ z r. 1874, I półroczcie, artykuł p. tyt. „Trzy dni w pustyni“.

## CHICAGO.

Czterechsetna rocznica odkrycia Ameryki stała się najwspanialszą uroczystością, jaką kiedykolwiek obchodzono za czasów nowożytnych święto narodowe. We wszystkich wielkich miastach Stanów Zjednoczonych: w Nowym Yorku, w Bostonie, w Baltimore, Filadelfii i Chicago odślonięto d. 21 Października posagi Krzysztofa Kolumba, wykute w marmurze, odlane w spiżu, lub bronzie a wśród tych pierwsze miejsce jako dzieło sztuki trzyma posag, wykonany kosztem kolonii włoskiej w Nowym Yorku. Otwarcie i pobłogosławienie budowli wystawy nastąpiło z kolei. Ameryka stała niejako do popisu, czem jest, czem się stać umiała przez te cztery ubiegłe wieki, przez które stara Europa słała jej promienie swego światła i przerost ludności. New-York, jako najstarszy ze wszystkich miast Ameryki, rościł sobie prawo, aby wystawa odbyła się w jego murach, przeciw kongres zdecydował inaczej, chciał bowiem, aby wystawa mieściła się więcej w głębi kraju. Chicago przedstawiało pod tym względem punkt najdogodniejszy i powiedzieć można, nie tylko wskutek rozgałęzienia swego przemysłu, ale i energii, jaką miasto to rozwinęło. Niesłychanem nazwać można wzrost jego. Nazwa wzięta jest od niedużej rzeczki, zwanej przez tubiepców „Czekajo.“ Okolice, wśród której się wznosi, wydartą została krajowcom w 1795 r., zatem mniej jeszcze czasu, niż wiek jeden, wystarczyło, aby mała osada na południowym wybrzeżu jeziora Michigan stała się jednym z pierwszych miast Stanów Zjednoczonych, w których stanowi punkt środkowy.

Wskutek tego wzniesiono tu w 1822 r. warownię: „Fort Dearborn“, pod którego osłoną skupić się też poczęli osadnicy; nie był to przecież taki, jak obecnie ruch ludności. Stara Europa nie przepełniła się jeszcze; w 1825 r. istniało tu pod opiekuńczym cieniem warowni miasteczko mało co różniące się od zwykłej wioski, przecież w 1830 r. znajdowały się już tam dwa szynki, trzy kramy bławatne, kupiec korzenny i 32 obywateli z prawem głosowania. W 1832 r. zjawił się na wodach jeziora pierwszy parowiec, przekopano kanał Erie, otwierający drogę wodną na Zachód i ludność tak wzrastała, że od Kwietnia do Września 1834 r. przybyło tu 1.000 osadników, wieś Chicago otrzymała godność miasteczka a pierwszym rozporządzeniem polieyi było, aby trzoda chlewna nie wałęsała się po ulicach.

Osiedliło się tu następnie zaraz w pierwszym roku sześciu adwokatów, ośmiu lekarzy, i wychodziły dwa dzienniki; w 1842 r. było już 6.930 mieszkańców, ale mimo to wilki stepowe wyły tu nocami u drzwi domów, i dopiero, gdy jezioro Michigan połączyło się kanałem z rzeką Mississippi, miasto zaczęło wzrastać w sposób niemal cudowny. Zbudowano tu dziesięć odnog kolej żelaznych a przyrost ludności może się wydać wobec naszych stosunków bajecznym: w 1850 r. liczyło ono 29.963 mieszkańców, a obecnie zaś jest ich podobno 1.500.000. W czasie wystawy ludność dojdzie niewątpliwie do dwóch milionów.

A dodać należy, iż miasto to, stosunkowo tak młode, dwukrotnie zniszczył pożar. W 1871 roku sprowadziła tę klęskę krowa, która przewróciła latarnię naftową, i miasto niemal całe drewniane, zgorzało do szczytu, chociaż New York przysłał mu na pomoc kolejną żelazną swoją straż ogniową, jak to uczyniły i inne miasta. W 1874 r. katastrofa pożaru powtórzyła się, niszcząc doszczętnie odbudowujące się miasto. Szkody tych pożarów obliczano na milion dolarów, przecież fenix powstał z popiołów, stokroć świetniejszy. Energia ludzi zdawała się wzrastać w miarę prób losu, na gruzach powstało miasto przepyszenie odbudowane, nie tylko już z cegły ogniotrwałej, ale po większej części z granitu. Piękne bulwary przedstawiają dwa rzędy pałaców, bo pałacami tu są i to niepospolitej struktury, wszystkie domy prywatnych właścicieli, a zakłady miejskie budzą podziw swoim

obszarem, swoim urządzeniem doskonałym, korzystającym ze wszystkich dobrodziejstw postępu. Gmachy te miewają nierzadko po szesnaście piątr, ale nie szkodzi to nie wygodzie publiczności, bo windy unoszą i spuszczaają następnie urzędników, oraz interessantów tak wygodnie, że nikt na wysokość tę skarżyć się nie może.

Wystawa w kraju tak rozwiniętego przemysłu to rzecz nielada, zwłaszcza, gdy olbrzymia jego ludność pragnie, aby to była przedewszystkiem wystawa jej cywilizacji, jej rozwoju organicznego—ukazanie starej Europie czem jest ta jej młodsza siostrzyca, której braknie dotąd wprawdzie jakoby indygenatu szlachectwa, ponieważ nie posiada starych katedr, starych zamków rycerskich—starych walk o idee, starych poezyi z tych czasów, gdy ludzkość była młoda. O świecie jeszcze szarym miasto już przebudziło się ze snu, można powiedzieć gorączkowego, bo czterysta kolejno danych strzałów armatnich obwieściło miastu, że dzień wielki dla niego wschodzi na niebiosach. Strzały te, dawane z portu Dearborn, wznoszącego się na górze ponad olbrzymią taflą wód jeziora Michigan, rozlegały się z dziwnem dla ucha i jakgdyby czarodziejskiem wtórowaniem echa przestrzeni wodnej i lasów, wznoszących się po drugiej stronie brzegów jeziora. O godzinie 10 rozpoczęła się wzdłuż bulwaru Michigan kawkata powozów przelicyć się nie dających, także mnóstwo jeźdźców konnych wojskowych, cywilnych, welocypedystów nawet, gdy bokiem płynęły chodnikami fale ludzi wesółych, rozradowanych, w ubiorach świątecznych. Że w Ameryce wszelkie uroczystości publiczne odbywają się ze szczególną uwagą na publiczność pieszą, na wszystkich powozach były po obu stronach u drzewiczek wypisane na kartach białych nazwiska zasiadających wewnątrz dygnitarzy. Przodował tu prezydent rzeczypospolitej Dawis, w roli mistrza ceremonii, mając obok siebie dwóch członków Najwyższej Rady, dalej vice-prezydent Morton, dalej ministrowie, ciała dyplomatyczne, członkowie rady miejskiej, między którymi było dwóch ziomeków naszych: Piotr Kiolbasa, podskarbi kassy miasta i radca miejski, Stanisław Kuza.

Ogromny plac wystawy tak był pełen tłumu ludzi, że tworzyło to jakgdyby morze żywych bałwanów, wdzierające się do Pałacu rękodziel i Sztuki, olbrzymiego gmachu, o którym mieszkańcy Chicago klas wszelkich mówią z dumą, że jest dwa razy obszerniejszym od kościoła Ś-go Piotra w Rzymie i może pomieścić w murach swoich sto tysięcy ludzi. Przygotowano tu siedzeń dla 75.000 ludzi, kto też wchodząc tu zatrzymał się u proga i objął wzrokiem przedstawiającą mu się widok, nie zapomni go prędko, nie zapomni nigdy. Zpod wspaniałych łuków sklepienia zwisały się chorągwie wszystkich narodów biorących udział w wystawie, nad estradą, na której miał zasiąść prezydent, spuszczała się miętko trójkolorowa flaga amerykańska w pasy białe, czerwone i błękitne, z narożnikiem błękitnym, na którym błyszczało czterdzieści dziewięć gwiazd srebrnych—herb Stanów Zjednoczonych. Z jednego boku estrady wznosił się rozwinięty sztandar Kastylji, z drugiej strony chorągiew Kolumba: zielony krzyż w białym polu z cyframi króla Ferdynanda hiszpańskiego i królowej Izabelli.

Z chwilą rozpoczęcia się ceremonii ozwały się organy, rozległ się po łacinie śpiewany przez chór hymn „Ciebie Boga chwalimy...“ następnie purpurat, kardynał Gibbons, dla którego Amerykanie marzą o tytule papieżkiej po śmierci Leona XIII, odmówił modlitwę rytualną, przeznaczoną do takiej ceremonii a wzywającą Ducha Ś-go, aby wstąpił i oświecił umysły, rozgrzał serca ludzkie. Następnie rozpoczęły się mowy—raczej mów tyle, że treść ich było trudno spamiętać, a między nimi dał się słyszeć i głos kobiety, znanej już wam z listów moich, Mrs Potter Palmer, która przemawiała z kolei, podnosząc znaczenie pracy kobiecej wśród narodu, ludzkości. Styl tej pani, poważny i spokojny, znać z odezwy, którą jak wiem, w czasie zawiązywania się pracy kobiet mającego funkcyonować na wystawie, przesłała redakcyi waszego pisma, jak i innym kobiecym organom prasy w Europie. Rzecz się zakończyła przyjęciem przez prezydenta kluczy gmachu wystawy

której otwarcie ogłosił, wzywając opieki Boga nad tem pierwszym w Ameryce wielkiem przedsięwzięciem, do którego naród cały ręce przykładal. Odbywało się to wszystko w sposób wielce uroczysty, z nastrojem bardzo poważnym, zwłaszcza, gdy naraz odezwał się chór śpiewający odę, napisaną przez młodą pannę, Henrykę Monroe, a podłożoną pod muzykę przez kompozytora Dorello. Gdy śpiew ten się ukończył, wszystkie chóry i orkiestry tu zgromadzone odzywają się naraz wspólnym narodowym hymnem Ameryki: „Bandera gwiazdzista,“ a teraz wszyscy powstają z miejsc swoich, gorące uczucie zapалу przenika tłumy i osiemdziesiąt tysięcy głosów śpiewa uroczyste, powoli stary ten hymn—hasło Stanów Zjednoczonych.

Wrażenie tej chwili było nieopisane i sprowadziło taki skutek, że nikt po skończonym śpiewie nie pcha się naprzód ku drzwiom, nie potraça sąsiadów, robiąc sobie miejsce wśród tego wielotysięcznego tłumu, ale posuwa się powoli ku licznym z różnych oddziałów wystawy prowadzącym tu wyjściom, aby, wylawszy się na miasto, poznał dopiero mnogość swoją. Kilka kilometrów przestrzeni wzdłuż wybrzeży kanałów roi się tym tłumem, który przecież zatrzymuje się na miejscu i czeka na coś, co mu każe tu stać cierpliwie, aż oto dają się słyszeć głosy: — Pochód wieków! Pochód wieków!... i na spokojnych, zwierciadlanych wodach kanałów, wykopanych świeżo na ten cel między pawilonami wystawy, ukazują się długi szereg tratw i dwadzieścia cztery tych statków, posuwa się cicho, bez ruchu wiosel, bez pomocy jakiegokolwiek maszyny, przedstawiając widok, jak gdyby widział sennego. Widok uroczy! Tratwy ciągnięte są niewidzialnie przez linę ruchomą, a otaczają je z obu stron pyszne gondole,—razem jest to widok uroczy. Korowod ten wodny przedstawia oczom rzeczywiście pochód wieków, bo postęp wiekowy prac natury, oraz żyjącego na tej tu części ziemi człowieka. Najpierw obraz okresu kamiennego, potem okresu brązowego, widz ogląda pierwotne ludy Ameryki, Tolteków, Azteków, czerwono skórych Indian, i tu obraz widzenia jego się zmienia: popelnym przerwaniu, jak gdyby po zapadnięciu kurtyny na scenie, ukazują się obraz świetny: Kolumb na królewskim dworze hiszpańskim, jego wyruszenie z portu Palos, ujrzenie lądu Ameryki, wkręcenie nań pierwsze, powrót do Europy i znowu biali ludzie, biorący w posiadanie swoje wydarte naturze przestwory dziewicze. Jest i obraz osadników angielskich w ich pierwszej osadzie Jamestone, Hollendrów w Nowym Amsterdamie i tak dalej, aż widz ogląda Waszyngtona w uroczystej chwili, gdy podpisuje akt niepodległości Stanów Zjednoczonych.

Widz każdy, nawet ten, który nie był Amerykaninem, doznawał pewnego wzruszenia na ten widok pochodu wieków: prac człowieka na tej tu części ziemi i owoców, jakie zbierał: rozwój kultury, wyzwolenie z poddaństwa natury na korzyść ducha, co wykazywanem zostało z kolei przez obrazy allegoryczne geniuszów, darzących społeczeństwo ludzką wielkimi wynalazkami: pary, elektryczności, jakoby zdejmującymi z człowieka wypędzonego z raju tę karę gniewu bożego, iż ma pracować w pocie czoła. Grupy wyobrażające rolnictwo, naukę, literaturę, sztukę, przedstawiają odkupienie człowieka przez rozum, przez jego wolę wolną, która ma wieczne i nigdy nieustające pragnienie dążenie ku doskonałości. Rzecz zakończy się pysznym obrazem, w którym prawo i sprawiedliwość stają u stóp wolności—bogini opromieniającej świat blaskiem swoim, tworzącym jej koronę.

Była to rzecz pyszna, wspaniała prolog wystawy. Nikt temu nie zaprzeczy, a jakie wrażenia nowe oczekiwały nas jeszcze! Gdy noc opuściła zasłone swoją, potężne słupy elektrycznego światła wytryskują naraz, cienie nocy usuwają się gdzieś w dal, zieloność drzew i trawniki skwerów nabierają nieopisanego odcienia zieloności, kontury gmachów wystawy rysują się w rozmiarach jakichś powiększonych, a fasady ich uilluminowane światłem żywym, które ma blaski złote, odbijają się w spokojnych wodach kanałów, i widza ogarnia coś, jak hallucynacja. To też zgromadzone tu

tlumy przenikało mimowoli to jakieś wrażenie powagi, jakiego człowiek doznaje zawsze na widok wielkich dzieł — obrazów wielkiej pracy i myśli ludzkiej.

Tysiące tysięcy ludzi zjeżdża się też tutaj, a nie można powiedzieć, aby popychało do tego proste uczucie ciekawości, bo przedewszystkiem uderza tu obraz olbrzymiego ruchu myśli ludzkiej, pracy ludzkiej — postępu we wszystkich jej kierunkach, i można też wobec tego twierdzić śmiało, że z czasem człowiek wyzwoli się całkowicie z trudu tej pracy ciężkiej, na którą skazanymi zostali synowie Chama. Praca to przecież dokazywała tych wyzwoleń i chociaż materyjalna cywilizacja naszego wieku mieści w sobie ogrom błędów i zboczeń z tej drogi człowieka, którą dąży on do podniesienia ducha, jest to chwila przejściowa. Dawniej dobijał się ten człowiek wyższego szczebla w dziele postępu przez potoki krwi, obecnie są to potoki gorącego potu jego czoła — jest trud tysięcy tysięcy, pracujących na to bezwiednie. Jak opłonywa on już naturę, jak wyzyskuje ją dla celów swoich praktycznych, świadczyć może towarzystwo związane tu z zamiarem posługiwania się mocą ogni podziemnych: wulkanu Popokatelu wyrzucającego z głębin swoich siarkę bardzo obficie. Siarka ta jest najdoskonalszego gatunku; ktoś dopatrywał się tego, dokonał chemicznego rozbioru lawy, i Towarzystwo kupiło wulkan, spodziewając się zysków ogromnych.

Pieniądze przepływają też tutaj z rąk do rąk, można powiedzieć, jak woda. Pamiątkowa moneta, wybita z okazji wystawy, ma nominalną wartość pół dolara. Jeden z tutejszych magnatów handlowych zapragnął dla osobliwości posiadać sztukę pierwszą z wybitych, płacąc za nią 1.000 dolarów. Zdawało się to fantazją bogacza; lecz oto Towarzystwo fabryki maszyn do pisania „Kensington Typewriter” ofiarowało jeszcze większą ogromną sumę 10.000 dolarów; wszelako dyrekcja mennicy nie mogła już przystać na to, ponieważ zarząd wystawy postanowił urządzić licytację na tę sztukę, która zapewne pójdzie bardzo wysoko. Zrozumieć-by to można, gdyby chodziło o medale pamiątkowe szlachetnie pięknych momentów w życia ogółu: jak na przykład wzniesienie przez naród pomnika Waszyngtonowi, uświęcenie wielkiego zwycięstwa Stanów Północnych, znoszących niewolnictwo w Stanach Południowych; ale wystawa to jest przeważnie przemysłowa, której medali pamiątkowych będzie wybitych pięć milionów przez jej zarząd a jak spodziewają się tutaj, otrzyma za wspomnianą monetę skoro rzecz weszła już w modę, 20.000, może 30.000 dolarów.

Ze względu na ruch kolei żelaznych w czasie wystawy zbudowano tu przeogromny dworzec kolejowy, do którego zbiegać się będzie ruch pociągów linii kolejowych. Budynek ten, mogący pomieścić 25.000 pasażerów, jest w stylu korynckim, można też pod względem architektonicznym zaliczyć go do najpiękniejszych budowli miasta i nazywają go już teraz pomnikiem wystawy. Trzy bramy prowadzą przez przedsionek do głównego kurytarza i dalej do głównej sali, gdzie przybysz znajdzie zegary wskazujące godziny wszystkich stolic europejskich: Londyna, Paryża, Rzymu i tam dalej. Na dwóch krańcach budynku wznoszą się dwie wysmukłe wieże z zegarami o ogromnych tarczach na wszystkie cztery strony, których wskazówki mają trzy stopy długości, więc widne są zdaleka. Dwie windy i dwoje wschodów wiodą na pierwsze piętro, gdzie znajduje się kasa sprzedaży biletów, poczekalnia z oddzielnymi salami do palenia, czytelnia pism peryodycznych i restauracja. Czego tu wreszcie nie będzie! Turcja nawet ruszyła się ze swej ocieężałości i wystąpi wcale świetnie. Zrobił to wprawdzie jakiś przedsiębiorca, ale rezultat jest taki, że wystawa ma na placu swoim rzadkiego rodzaju okaz życia tureckiego: wieś cała, nietylko z zabudowaniem jej wiernem, ale z żywym obrazem ruchu jej życia, bo sprowadzono tu ze Stambułu 450 Turków i Syryjczyków, którzy ukazują oczom zwiedzających wystawę ruch naturalny życia tureckiego, tak dalece, że na placu wystawy stoją taragary w fezach i zawojach, ofiarujący publiczności lektyki.

Ruchliwy, czynny Amerykanin nie znajduje upodobania w takich rozleniwiających i powolnych sposobach podróżowania ale za to toruje sobie śmiało i pracowicie środki komunikacji, można powiedzieć: niesłychane. Obecnie rozpoczęto tu roboty koło tunelu nieznanymi przedtem rozmiarów. Dwie wiorsty długi, ów tunel, przeprowadzony pod korytem rzeki S tej Klary, której wody rozlewają się na 350 stóp szerokości, ma za cel ułatwienie komunikacji między Stanami Zjednoczonymi i Kanadą, a historia wykopania go jest, można powiedzieć, ciekawą. Pracę kopania rozpoczęto z dwóch krańców i robotnicy zbliżają się tym sposobem do siebie, aby się spotkać w środku; tunel mieć będzie trzy stopnie średnicy z powalą zaokrągloną; że przecież zdarzyć się tu może zarwanie się gruntu, kopacze pracują w stalowych jakoby celkach, których ściany są tak grube, że oberwanie się ziemi nie zgniotłoby ich, co więc zabezpiecza ich przed wypadkiem, który już nieraz przeciął nagle nie życia górników. Grunt gliniasty ułatwia robotę, która też posuwa się codziennie o dwa sążnie długości.

Pracuje tu dużo naszych robotników; nie wiem przecież, czy zwiedził tę miejscowość D-r Dunikowski, który już poraz drugi jest w Ameryce. Był on tu poprzednio dla wzięcia udziału w kongresie geologów, odbytym w Waszyngtonie, a choć wtedy miał przed sobą zadanie ważne, bo zwiedzał w celach zapoznania się z rozwojem górnictwa dwa Stany Unii, a w nich kopalnie srebra w New Mexico i Colorado, nie zapomniał jednak o nędznych, nieszczęśliwych wychodźcach naszych. I obecnie podróż jego ma głównie interes ich na celu. Wychodźstwo trwa już lat przeszło czterdzieści, liczebnie przedstawia półtora miliona dusz, i w samym Chicago jest więcej niż sto tysięcy osiedlonych tam wychodźców, którzy tworzą 150 parafii. W roku zeszłym wzniesiono w tem mieście ze składek dobrowolnych wspaniałą kościół parafialny Najświętszej Panny Pomocnej. Ze składek również powstała zbudowana w Saint Louis, w stanie Missouri, świątynia nasza, dalej w La Salle w stanie Illinois, w Pittsburgu w Pensylwanii, oraz w trzech miejscowościach stanu Nowego Yorku.

D-r Dunikowski, stosunkowo do godności swojej młody jeszcze, bo ma lat 37, posiada bardzo sympatyczną powierzchowność, przyjmowanym też był tutaj przez swoich i obcych uprzejmie, i można powiedzieć z wielkimi honorami, a filantropowie tu tejsi i wszyscy ludzie ze szlachetnem uczuciem w piersi usiłowali pomagać mu w doprowadzeniu do skutku dwóch zamiarów, których też dokonał: urządzenia na innych warunkach domu emigrantów w Nowym Yorku, oraz założenie naszego seminarium nauczycielskiego, któreby dostarczało osadom naszym nauczycieli elementarnych.

B...

## M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Krempel ujmując ją za rękę i spoglądając ku drzwiom niedomkniętym, cichszym nieco głosem odpowiada:

— Pójdziemy, pójdziemy, tylko...

— Tylko co?

Ta chwila wahania z jego strony zastanawia ją, patrzy mu w oczy, jakgdyby szukała w nich za-

przeczenia wątpliwości, która się w niej budzi, ale te oczy mają wyraz taki szczerzy, pocziwy, serdeczny, że uspokojona zupełnie gotowa jest zaufać mu we wszystkim.

— Tylko należałoby mamę wpierw przygotować,—powiada do niej — tak od razu nie można; mówiłem pani, iż wzruszenia wszelkie są dla niej szkodliwe. Należy oszczędzać jej siły...

Genia ma minę posępną, słuchając tego; ona nie rozumie, czegooby miała się obawiać teraz, skoro przecież mama jest zdrową.

Radość taka jeszcze lepiejby jej zrobiła, uzdrowiłaby ją może od razu a ta kochana mamusia musiałaby się bardzo, bardzo ucieszyć wiadomością, że jej najukochańsze dziecko czuje się tak szczęśliwem, że znalazło człowieka tak godnego, tak zacnego, z tyłoma zaletami, który chce je zaślubić.

Każdej matce na samą myśl znalezienia dobrego męża dla córki serce rośnie i oczy słodkimi łzami wzbierają.

Czemuż temu złotemu, drogiemu, anielskiemu sercu takiej matki nie sprawić tej wielkiej pociechy?... dlaczego odkładać, kiedy ona chyba sama się domyślić musi, sama pozna z tych oczar rozpromienionych, z tych ustek uśmiechniętych swej Geni, że zaszło coś bardzo dobrego, bardzo ważnego, czego ukrywać długo żadna córka przed matką nie potrafi.

Tak, ale Krempel, który od tej chwili wyznania uważa się już za narzeczonego, nie przestaje być lekarzem swej pacjentki, swojej przyszłej teściowej; on lepiej zna jej stan i wie, że każde wstrząśnienie w dzisiejszych warunkach mogłoby chorej więcej zaszkodzić, niż pomódz, dlatego się waha i powstrzymuje, bo mu tak każe ostrożność.

Szkaradna medycyna!... po co ona musi się mieszać do szczęścia dwojga ludzi i występować z reflexyami. Niechaj Bóg radzi o swojej czeladzi.

— Więc pan uważa, że tak wprost, otwarcie nie można powiedzieć mamie o wszystkim? — pyta go Genia z jakąś smutną pokorą.

— Tak, moja jedyna, moja droga pani,—odpowiada on, jakgdyby przeproszał ją za ten opór nie narzeczonego, ale doktora,—proszę mnie słuchać, proszę mi wierzyć...

— O ja panu wierzę, ja słucham, ja zawsze będę posłuszną,—przerzywa mu z taką ufnością i z takim szczerem tonem w głosie, że aż mu ochota przychodzi ucałować ją za to:—kiedy pan tak radzi, to musi być dobrze. Cóż robić, to poczekamy jeszcze, do jutra, prawda?... czy jeszcze dłużej?...

— Może do jutra, może trochę dłużej, — odpowiada jej wymijająco,—a tymczasem zlekka przygotowujemy naszą mamusię do tej wielkiej nowiny.

— Naszą mamusię!—powtarza miękko, rozrzuconym głosem dziewczyna, spoglądając na niego, jakby z wdzięcznością za te dwa wyrazy, w których się Krempel niejako pierwszy raz już za syna, należącego do rodziny przyznaje.

O, ona wie, że on będzie tę matkę bardzo kochał dla niej samej i przez miłość dla córki; przecież tak jakoś od samego początku przypadł do całej rodziny, a teraz — Boże drogi! teraz to oni go wszyscy chyba zjedzą z wielkiej miłości i sympatii.

Dzieci go gotowe zamęczyć swemi całusami i uściskami, gdy się dowiedzą, że się ma z Genią ożenić i że zostanie ich szwagrem!... One i tak przepadają za nim.

Ojciec to się pewno rozplacze i będzie łypał powiekami, wąsy przyglądał, włosy swoje bujne i szpakowate, trochę za długie, przegarniał jedną ręką a drugą pociągał, z przyzwyczajenia kamizelkę, jak to czyni zwykle, gdy jest czego wzruszony; pocziwy ten ojciec, taki bekasa, a przecież mężczyzna, nie dziecko.

Cóż, kiedy serce ma dziwnie miękkie i wrażliwe, zwłaszcza, gdy chodzi o żonę albo o dzieci, a zwłaszcza o Genię, która jest jego „oczkiem w głowie.”

On biedaczysko zawsze się kłopotuje o jej los i przyszłość i zawsze lubi utyskiwać na to, że nie ma majątku, aby dla niej odłożyć posag. Ba!... gdyby nie złe czasy, nie wypadki, nie straty, wszystko byłoby inaczej; i on nie byłby tylko introligatorem, bo przecież w młodości jego inny mu się los znał, miał zostać „czemślepszym“, jako syn zamożnych rodziców, syn obywatelski, — przecież i szlachcie, i nazwisko ma dobre, i rodzinę liczną, ale cóż z tego?... na nie się to przydało, gdy przyszło wiać się do pracy, do szukaniania kawałka chleba w praktycznym zawodzie, kiedy się znalazł prawie bez wszystkiego na bruku po śmierci swojego ojca.

Trudno, został rękodzielnikiem, bo nie było wielkiego wyboru; nie żałuje zresztą tego, bo uczciwie zarabiał na życie lat tyle, miał nawet swoje świetne chwile i zaczynał już odkładać coś nie coś „na czarną godzinę“, ale potem znowu się interesa pogorszyły, jak to bywa. Oszczędności lichy wzięło, i długi się przyplątały, Bóg wie kiedy i trzeba nieraz tę biedę klepać z dnia na dzień; nie zawsze przecież jest robota. Teraz ta choroba żony przysporzyła i zmartwień, i kosztów, ale niema rady; choćby przyszło koszulę z siebie ściągnąć i zastawić, trzeba biedaczkę ratować. To przecież towarzyska jego zlej i dobrej doli, matka jego dzieci, najzaciejsza, najlepsza, najpoczeiwsza dusza pod słońcem. Trudno, trzeba się kurczyć i kręcić, i ściągać z ostatniego, byle jej czego nie zabrakło.

— Ach, ten tatko, to dobry, jak... już nie wiem kto! — mówi właśnie Genia do Krempa, bo jakoś rozgadali się ze sobą o stosunkach rodzinnych, w które należy go bliżej wtajemniczyć, skoro ma zostać jej mężem i wejść w ich rodzinę.

— Pan wie, że ja nie mam posagu, ja jestem panna biedna, nawet wyprawę całą będę musiała własnymi zrobić rękoma, — mówi mu — to trudno, niema u nas na zbytki. Dzieci dorastają, trzeba na wszystko starczyć z tych dziesięciu palców, ale ja za to umiem wszystko zrobić, co w domu potrzeba; to także duża oszczędność. Mamusia nas tak praktycznie od małości wychowywała.

Krempel słucha tego z głową podpartą na dłoni, wpatrując się w nią i gotów jest każdy z tych pracowitych paluszków po dziesięć razy ucałować.

Co jego obchodzą takie drobiazgi, jak kwestye materyalne; on ma przecież własny, nawet spory kawałek chleba, ma tam jakiś mająteczek nie duży po matce, wystarczy dla nich dwojga i jeszcze znajdzie się na różne potrzeby dla reszty rodziny.

Słucha, słucha jednak z zajęciem i myśli:

— No, czy to nie anioł ta dziewczyna?... niech mi kto powie, czybym ja ze świecą mógł znaleźć dla siebie lepszą pannę na żonę! I ładne to, i dobre, i praktyczne, i rozsądne, i takie poczeiwe z kosteczkami i takie kochane, takie kochane!...

Jest mu tak dobrze, tak błogo, tak ciepło około serca, jakby ten wieczór spędzał nie na ziemi, ale... ale gdzieś u Pana Boga za piecem, sam na sam z najpiękniejszym i najmiłszym aniołem w calusieniczkiem niebie.

A tu jakby umyślnie, Pawłocka śpi w swoim fotelu, dzieci ani się pokażą, Pawłockiego nie ma w domu i oni dwoje mogą ze sobą szeptać swobodnie o wszystkim, co mają na myśli i na sercu.

Cudowny ten pierwszy wieczór narzeczeństwa, pełen uroków, marzeń, nadziei na przyszłość, planów i tajemnic zmieszanych razem z wymowniejszymi od słów spojrzaniami, z gorętszymi od spojrzeń uściskami, z słodszych od uścisków pocałunkami.

Bo co tu ukrywać prawdę, — niepodobna mówić sobie: „kocham“ i siedzieć naprzeciw siebie obojętnie, sztywno, jak dwie chińskie pagody.

Młodość i miłość mają swoje prawa i swoje przywileje; gdzie się zaś dwa serca porozumieją i zbliżą, tam i usta ciągną ku sobie, — a pocałunek narzeczonych, to uczciwy zadatek przy układzie na całe życie, który nikogo gorszyć nie może.

Chyba fałszywą pruderyą...

\*

\*

\*

Ani się spodziewał Grotwicz, że go Gajski tak z boku zajadzie.

Przycupnięty zniechęca, musiał się zdradzić co do tej sprawy z Bończami czy Borończami. Niby to taki kuty na cztery nogi a języka zapomniał w gębie, kiedy go Franek zagadnął:

— Słuchajno, czy ty swojej panny Henrietty nigdy teraz nie widzisz?...

Poczerwieniał, jak piwonja, oczy otworzył, usta otworzył i zająknął się w pierwszej chwili.

— A ty z kąd ją znasz? — prysnął nagle słowami, zmieszany, jak złodziej, na którym zapłonęła czapka niespodzianie.

Gajski zmrużył jedno oko i uważnie go badając, odpowiedział krótko, ale znacząco:

— Znam.

Popatrzyli sobie przytem w oczy i zamilkli, jak gdyby obaj wyczekiwali czegoś.

Gajski spokojnie, ot tak, jakby od niechcenia, rzucił mu drugie zapytanie:

— Dużoś ty wziął wtedy od nich?...

Był przekonany, że Grotwicz spiorunuje go spojrzeniem, rzucił się na niego, wciąż mu te wyrazy napowrót w gardło, a przynajmniej rozgniewa się, jak obrażony Jowisz, albo zrobi coś, co zaprzeczy na razie samej insynuacji ubliżającej; ale Zeno zaskoczony temi pytaniami na wyrwyki, jak uczeń, zbierający przy tablicy rozpieczętowane myśli, dla zyskania czasu udął, że nie rozumie, o co mu chodzi.

— Od kogo? — spytał prawie naiwnie; brwi mu się przytem chmurzyły, a usta uśmiechały, jak u człowieka usiłującego nadrobić miną, kiedy traci równowagę i pewność siebie.

— No od nich, za te listy?... — zawsze z pozorowaną obojętnością durzucił Gajski.

— Za jakie listy?

— Udajesz... wiesz przecie, o czem mówię. Historia taka stara, czy co, żebyś nie pamiętał?... no, za te dawne durzaneye romansowe?... wzięłeś starego, prawda?...

Mówił to umyślnie tonem, dobronim, jakby go chciał złudzić i uprzedzić, iż uważałby tę całą awanturę za coś bardzo zwykłego; chciał go ośmielić do przyznania się i tem go do reszty otumaniać.

Grotwicz spazmatycznie niemal śmiać się zaczął, ale śmiech jego był sztuczny, przykry, pieszczący jakiś.

— To ty wiesz o tej całej komedii? — zawołał — wiedziałeś o tem?...

Gajski nie zmieniając pozycyi i nie przestając mu się uważnie przyglądać, jak gdyby go tem spojrzeniem trzymał, niby na jedwabnym sznurku, skinał tylko głową potakująco; twarz miał spokojną, ale na policzkach dwie małe czerwone plamki zaczęły mu się rozpalać.

— No patrzcie, patrzcie, to Borynicze się tem pochwalili! — parskał znowu nienaturalnym śmiechem Zeno — a ja myślałem, że oni do końca świata pary z ust nie wypuszczą. Odemnie przecież słowa nikt nie usłyszał.

— Więc to nie Borończa, tylko Borynicz? — szepnął, jakby do siebie Gajski.

— A Borynicz, Borynicz, szlachetka na dwóch wsiach, — poderwał Grotwicz, stając się bezwiednie wymowniejszym, niż potrzeba było — panek, pyszałek, próchno arystokratyczne!... Oto zafananie, tego trzeba ci było poznać!... myślał, że mi łaskę robi, kiedy mi swoich bębnow oddał do nauki; kretny, z głową albinosów, z anemiczną skórą, jak wyprane rękawiczki balowe, z oczyma śniętej ryby. I ja miałem być gubernierem takich idiotów!... przychodziła mi nieraz ochota wbić ich na szpilkę, jak parę mólów i przyglądać się im przez szkło powiększające. Przyjąłem to miejsce z konieczności, bo mi trzeba było trochę mamony i myślałem, że z tych mareppanków wygniotę przecie coś ludzkiego, ale po tygodniu widziałem już, że to degeneracya, skazana na strupieszenie zupełne. Szkoda tylko mojej pracy. Ot, dla nich potrzeba było jakiego gładkiego labusia, ale nie mnie, na gubernera. Byłbym w tych podłych Birzanach zdechł, jak pies, między wypchanymi małpami, gdyby nie panna Henryetka. Ona jedna przynajmniej miała mięso, była z krwi i kości; krew musiała być pewnie zepsuta, a kości ze starych mamutów, bo Borynicze, to jakiś ogon z bardzo arystokratycznych mastodontów, wykopaliska, nie ludzie!... Ale podobala mi się, niema co gadać, ja lubię smagłe brunetki, a ta wyglądała, jakby ją w orzechowych liściach

moczyli od dziecka. Przy tem miała pieprz!... i pieprz lubię. Zaczęliśmy tedy z sobą rozmawiać po ludzku, włóczyć się po parku i obrabiać teorią życia. Taka elewka, to przynajmniej warta była zachodu — i czy uwierzysz, byłem gotów poprawić im rasę, gdyby mi ją byli dali. Byłem jeszcze *in der blöden Jugendeselei* i chciało mi się ożenić. Ona nawet nie była od tego, tak ją wzięłem. Zawojowałem moją arystokratkę, że się chyba jej praszczy w grobie musiały przewracać, widząc jak za mną laziła, — nieczem obłąkawiona sarna. Myślałem sobie: „czekajcie mamuty, ja wam tu sztukę urządzę!...“ zrobiłem z niej czerwoną demokratkę. Boso biegła po ogrodzie, jak jaka Baśka albo Magda, żeby mi się przypodobać. Daję ci słowo!...

Rozgrzał się sam tem opowiadaniem, które podrabiał umyślnie cyniczną jaskrawością, jakby się pochwalić chciał swojemi tryumfami i przewagą, nad „młodą mastodontką“, a może i pokryć gorczy, która w nim pozostała z owych czasów.

— Czy ty uwierzysz, — zaczął na nowo — że ona wieczorami wylaziła na moje okno od ogrodu, aby mi powiedzieć dobranoc? — Była już tak wytresowana, że gdybym jej był kazał kamyki aportować, to na każde „pif“ gotowa była rzucić się na czworaki. Ja to traktowałem jak eksperyment naturalistyczny. Znasz mię, więc wiesz, że takie studia zawsze mnie zajmowały; zresztą, nie powiem, iżbym się do niej nie przywiązał!...

— Kochałeś ją? — przerwał mu Gajski.

— Kochałeś, kochałeś zaraz!... co to ma znaczyć kochałeś?... ty wiesz, co ja o miłości myślę, — obruszył się — miłość to głód zmysłowy, nie więcej. Cały świat zoologiczny tak się kocha, od wróbla do małpy i człowieka. Po co udawać?... dlaczego rzeczy nie nazywać właściwie. Człowiek ma najobłudniejszy język ze wszystkich ssaków, bo mówi *me* a rozumie *be*. Jeśli chcesz, nazywaj to sobie miłością. Niech będzie, więc kochałem się, ale jedyny to raz inaczej, niż w całym życiu, bom miał głupie skrupuły i myślałem, że się to wszystko inaczej skończy. Ale takie zakute łby, jak Boryniczów, nie mogą zrozumieć najprostszej rzeczy, że małżeństwo to dobór dwóch odpowiednich osobników w celu progenitury. Oni mnie psami wyszczuwać chcieli ze dworu, gdy się dowiedzieli, że my z Henryetką widzimy się w ogrodzie; a przecież gdzieś musieliśmy rozmawiać z sobą swobodnie o rzeczach, które w ich ciasne mózgi nie byłyby wlażyły nawet pod brylantowym klinem!...

Cyniczny uśmiech ustąpił z jego twarzy, która nagle sępniała ponuro i nabrała wyrazu złości i wzgardy; brzydki był w tej chwili i przypominał fizyognomią owych kryminalnych recydystów, których kolekcją można oglądać w albumach policyjnych.

Wyciągnął nogi przed siebie, ręce włożył w kieszeń, usta wydał z grymasem i po chwili dokończył:

— No i zrobiła się awantura!.. nie chcieli pozwolić na mezalians, woleli się narazić na skandal, do którego jeśli nie przyszło, to tylko dzięki mojej głupocie wtedy. Gdybym się był uparł, byłiby musieli mi ją dać, bo siła była po mojej stronie. Mogłbym był ich steroryzować, zmusić!.. Ale co by mi z tego przyszło?... kula u nogi. Ot, masz zwyrodniałą krew; czy ty wiesz, że ona się przed rodzicami potem wszystkiego zaparła, wyprysnęła, wyrzekała i ja musiałem im listami udowadniać, że wszystko było między nami od dawna ułożone, obgadane, postanowione, żeśmy nawet uciekać mieli!.. Kanalie podłe!.. myśleli, że to tak łatwo kopnąć Grotwicza, jak sobakę. Poszliśmy z sobą na udry i jak im przyduśłem te dychawiczne piersi, jak wsiadłem na nich, tak pisać nie śmieli w końcu. Znalazłem sobie satysfakcyę.

— Pieniężną? — wtrącił Gajski.

— A rozumie się; musieli grubo beknąć za to. O tę podłą mamonę mi nie chodziło, ale o to, aby ich zmusić do poddania się, do uznania, że jestem panem sytuacji i że się mnie bać muszą!.. Ja im powiedziałem wprost, że z ich haraczu zrobię użytek publiczny, który napiętnuje ich moralnie.

— Cóżś chciał zrobić?

— Co?... chciałem założyć przytułek dla idyotów im pod boki, ale na to miałem za mało; potem mi przyszła myśl innej zemsty, lecz byłem związany słowem, że skandalu żadnego nie zrobię. Trzeba było im pokazać, że mają do czynienia z człowiekiem, nie z bydlęciem. Powiedziałem sobie wtedy: „czekajcie bestye, ja wam pokażę!.. wszystko, co od was wzięłem, zużyję na to, aby wam, waszej kaście, waszym ideom, waszym przesądom przygotować wroga silnego, taran, który was rozbijać będzie!.. Oryginalna zemsta, prawda?.. mogłem się na nią tylko ja zdobyć. Zgarbiłem pieniądze i pojechałem zagranicę do uniwersytetów, wpakować sobie do łba cały arsenał, z którym kampanją należało przeprowadzić. Na swój własny koszt wyhodowali sobie wroga, cha, cha, cha!.. dobre, co?... Przyznaj, żem postąpił, jak Wallenrod!

Gajski, który słuchał tych wyznań swojego byłego mistrza z wypiekami na policzkach i tłumił w sobie najsprzeczniejsze uczucia, jakie się w nim budziły, z dziwną pogardą i niesmakiem pod koniec patrzył na niego, a gdy skończył, podniósł się z krzesła, splunął przed siebie i najniespodzianie pod wpływem nagłej reakcji, która w nim zaszła, otwarcie, instynktownie, z oburzeniem, które się pohamować więcej nie dało, rzucił mu w twarz te słowa:

— Przyznaję, że postąpiłeś, jak ostatni — szubrawiec!..

Grotwiec drgnął, chciał powstać, usta otworzył, ale rozmyślił się, bo z cynizmem największym zmierzył tylko Gajskiego pogardliwym spojrzeniem i rzekł z uśmiechem:

— Tak sądzisz?... to, mój drogi, rzecz zapatrywania. A zdanie takich wymoczków nie wiele mnie obchodzi.

Patrzył mu w oczy, jakby drwił z niego i ubolewał nad jego małostką.

— Kretyn jesteś, — powtarzał, kiwając głową.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Nie będzie przesada, jeśli powiemy, że dotychczas najobfitsze i prawie najsympatyczniejsze wrażenia, jakie płyną ze świata tonów, zaczerpniętymi bywają w Towarzystwie Muzycznym. Jest to rzecz naturalna, tak być powinno; obowiązkiem tej instytucji darzyć swych członków tydzień po tygodniu czemś nowem lub zasługującym na uwagę. Nie mniej, kłopotliwe to zadanie przy dość szczupłej liczbie miejscowych wybitnych, wirtuozów i skromnych zasobach materyalnych, niepozwalających na częste a ryzykowne przyciąganie znakomitości z zagranicy. Trudno zatem dziwić się jeżeli w szeregu wieczorów Towarzystwa nie wszystkie są jednakowo zadawalniacymi i nie wszystkie są warte szczegółowej wzmianki; ale przyznać trzeba, że niejeden z tych wieczorów zasługuje na życzliwszą ocenę, od wielu niefortunnych debiutów lub zaprawnych przynętą nowości podarków scenicznych. Jednym z miłszych wspomnień, które właśnie towarzystwu zawdzięczamy, jest występ panny Janeczowskiej, fortepianistki, uczennicy p. Michałowskiego. Słuchając młodej wirtuozki, doznawało się tej niewysłowionej przyjemności, jaka ogarnia wobec prawdziwych zdolności, dla których lata poświęcone pracy i nauce nie są zmarnowaniem drogiego czasu. Gra panny Janeczowskiej, to nie dyletantyzm pociągający pewnemi przymioty, ale talent, co śmiało swe skrzydła rozwija do wyższego, artystycznego lotu.

Śliczna, wyrównana technika, dużo siły, w połączeniu z miękkością, subtelność w szczegółach, jednakże bez gubienia i rozpraszenia w nich całokształtu dzieła, — oto dane, które pianistka może się poszczycić; a dane te, nabyte pod wybornym kierunkiem, pozwolą jej szybko samodzielnie kroczyć naprzód i wyrobić swą odrębność ar-

tystyczną, która jednych znakomitych wirtuozów od drugich wyróżnia; już teraz bowiem panna Janeczowska pewną indywidualną i nader powabną barwą cechuje wykonywane przez siebie dzieła. Program jej składał się z kompozycji: Bacha, Scarlattiego, Szopena, Liszta, Dreyschocka. Wokalną część koncertu podjęła pani Stromfeld-Klamrzyńska, oraz chóry Towarzystwa. Te ostatnie wykonały „Lacrimosa“ z Requiem Kiela, i dwie pieśni Eugeniusza Pankiewicza, tym razem mniej udatnie. Pani Klamrzyńska, jeśli na scenie się podoba, na estradzie zachwyty wzbudzić umie, znikają bowiem małe niedobory jej głosu, który w niższych registrach jest nieco słabym, natomiast uwydatnia się w całej pełni doskonałość deklamacyi śpiewaczej i odcienie wykwintnej koloratury. Arya Hanny ze „Straszego dworu“ Moniuszki i arija z op. „Dinorah“ Meyerbeera były świetnem polem popisu artystki.

Zaraz w następnym tygodniu mieliśmy w Towarzystwie mniejszy wieczorek, na którym przedstawiła się znowu uczennica p. Michałowskiego, panna Wiktoria Gilus, i trzy adeptki sztuki wokalnej, uczennice p. Horbowskiego. W grze panny Gilus zauważyliśmy piękne przymioty, jakich się w dobrej szkole nabywa, jeśli natura nie poskąpiła wrodzonego daru. Jest tedy i zasób techniki nader okazały i wydobywanie dźwięków z fortepianu przyjemne dla ucha i pojęcie jasne, trafne kompozycji. Usłyszeliśmy Waryacje Selmanny, op. 1, „Liebestraum“ Liszta i Etiud Leszytyckiego. Zpośród trzech występujących najpokaźniejsze stanowisko jako artystka już i na scenie sił swoich próbująca, zajmuje panna Marya Skulska. Arya z op. „Rigoletto“ zaśpiewała *con amore*, z precyzją i tą swobodą, jaka wypływa z należytego opanowania technicznych warunków. W odpowiedzi na oklaski śliczny jej głos rozbrzmiał jeszcze w „Wesołej“ Marchesiego i „O ty mój luby“, pieśni Maryi Antoniny. Pannę Anielę Siemianowską cenimy bardzo jako wykonawczynię pieśni, których interpretacją owiewa niezwykłym wdziękiem; tym razem w miejsce pieśni odbarzyła nas p. S. arija z op. „Fiorina“ Pedrotiego i walcem z op. „Romeo i Julia“ Gounoda. Pani Rosa d'Alembert, po raz pierwszy na estradzie ujrzana, przyjęta została bardzo mile; głos jej, nieimponujący siłą, posiada pełnią brzmienia i nagina się ładnie ku serdeczным uczuciowym odcieniom. Romans z op. „Paul et Virginie“ Masségo, „Bolero“ Dessauera, „Mój kwiatek“ Trojszla, przyjmowane ze szczerem uznaniem, skłoniły śpiewaczkę do nadprogramowej daniny.

Dnia 26-go Listopada odbył się koncert pana Filipowicza, barytona, ucznia p. Trombiniego. W koncercie przyjęli udział witali z entuzjazmem przez naszą publiczność: pani Klamrzyńska, pani Lüde, St. Barcewicz i p. Jaroński, wiolonczelista. Widzimy zatem, iż nie brakło atrakcji i świetnych danych ku uprzyjemnieniu słuchaczom wieczoru w salach reutowych. Kto wie jednak czy sam koncertant, p. Filipowicz, nie stracił na uroku w otoczeniu tak wspaniałem. Jeżeli posiada on rzeczywiście jakie dobre warunki wokalne, to w obecnym debiucie nie zdołały się one ujawnić; nie trafny wybór programu: (arija z op. „Normannowie w Paryżu“ Mercadante i niefortunna arija z aktu pierwszego „Cyrylika Sewilskiego“) oraz brak samodzielności w śpiewie, na którym pewna metoda zbyt wybitne piętno zaznacza, — wszystko to sprawiło, że słuchacze odnieśli mniej korzystne, niż można było się spodziewać, wrażenie.

Pierwszy w tym sezonie Wieczór muzyki pokojowej Instytutu Muzycznego, a z kolei trzydziesty siódmy, odbył się w ubiegły Czwartek wobec dość licznej garstki miłośników tego rodzaju poważnej sztuki. Wykonawcami byli pp. Barcewicz, Cynk, Jakowski, br. Lesser, Pankiewicz i Stiller, a treścią programu: Kwintet C-mol Brahmsa op. 115 (na klarnet, dwoje skrzypiec, altówkę i wiolonczelę) Sonata A dur Beethovena op. 69 (forte-pian i wiolonczella) oraz kwartet smyczkowy D dur Mendelssohna op. 44 N. 1. Dobrym artystom, których grze w ogóle nie zarzucić nie można, wolno jest pewne dzieła więcej od innych upodobać i przestudyować staranniej, miś-

tet Mendelssohna którego wykonanie istotnie było czarującym.

Nowa operetka p. Karola Lecocq'a, p. t. „Dzień i noc“ pociągnęła nas ku widowni Teatru Małego. Ma się rozumieć, wstępując w te progi, z góry spodziewaliśmy się usłyszeć muzykę tak zwaną lżejszą, osnutą na tle wesołego, dowcipnego libretta. Ale, niestety, zawód nas spotkał. Muzykę znaleźliśmy, już nietylko lekką, lecz i banalną, ubogą w świeżej pomysł; gdzieniegdzie zaledwie jakiś udatniejszy chór lub duecik ozywają pustkę inwencji. Co do osnowy, ta nie posiada nawet dość zdrowego humoru i dowcipu, który mógłby uratować nieprawdopodobieństwo i nielogiczność nagromadzonych sytuacji. Wątpimy więc, czy najzapamiętałsi zwolennicy operetek zdołają dopatrzeć się w tej nowostce stron powabnych i zajmujących.

W wielkim teatrze debiutowała w op. „Halka“ Moniuszki, pani Trombiniowa. Ocena tego debiutu niemałe trudności nasuwa; nie można odmówić śpiewaczce inteligencji w pojęciu roli, pewnego artyzmu w jej opracowaniu, a nawet dość sympatycznego brzmienia głosu, lecz w partyach tak silnie dramatycznych, jak np. „Halka“, nieodzowną jest siła szerszej skali; mając bowiem wstrząsające wywołać uczucia, potrzeba móżdż z piersi swej potężniejsze wydobyć tony.

Na zakończenie — słów parę o kompozytorach. Z niewymownem zajęciem rozpatrywaliśmy temi czasy znajdujące się na składzie u pp. Gebethnera i Wolffa: „Pieśni ludu“. Jest to spory tom, zawierający tysiąc dziewięćset tekstów, oraz wielką liczbę ludowych, z różnych stron kraju skrzętnie zebranych przez Zygmunta Glogiera, w przeciągu lat przeszło trzydziestu. Literacka strona dziełka tego stanie się niewątpliwie cennym źródłem dla etnografów i badaczy ludowej poetyckiej muzy; nas szczególnie zainteresowała strona muzyczna, której opracowanie podjął Zygmunt Noskowski. Proste, naiwne melodye, nie tracąc nic na swym pierwotnym naturalnym wdzięku, otrzymały bogatą szatę w akkompaniamentach bardzo pięknie harmonizowanym, w modulacjach, odcieniach uczuciowych na których znać *coup de main* prawdziwego artysty. Dzięki temu niejedna drobna perełka, dostawszy kunsztowną oprawę, podniosła się do wartości artystycznego klejnotu.

U Areta wyszły dwie pieśni p. Alexandra Rożyckiego, prof. Instytutu muzycz. Pieśni te, pisane na mezzo-sopran, z akompaniamentem fortepianu, są niewątpliwie wytworami poetycznie nastrojonej myśli, która wysnuwa się serdecznie, naturalnie, bez wyszukiwania pretensjonalnych efektów, jakimi terazniejsi młodszy kompozytorowie tak często brak żywszej inwencji zastępują. Opracowanie akompaniamentu wykazuje także dokładną znajomość rzeczy. Jako stronę ujemną, którą zaznaczyć winniśmy, a którą niewątpliwie doświadczenie i wprawa usuną, jest niebaczność na akcentacją właściwą naszemu językowi; zgłoski przy-ciskowe wyrazów, nie padając na odpowiednie mocniejsze dźwięki muzyczne, powodują częstokroć wadliwą prozodją, dozwoloną jedynie tylko w charakterystycznych motywach ludowych.

Juliusz Stattler.

## Z bieżącej chwili.

— Petersburskie Tow. Geograficzne zamierza urządzić w roku przyszłym wyprawę do Syberji, dla dokonania badań geograficznych, geologicznych i fauny miejscowej.

— Wystawa ptaków ma zostać urządzoną w Petersburgu, w Marcu nadchodzącego roku. Dochód z wystawy został przeznaczony na założenie szkoły hodowli ptactwa.

— Meteorolog, prof. Wajekow rozbiera kwestyę zmniejszania się surowości zim na północy. W krajach tam położonych zmniejszają się mrozy,

gdy na Kaukazie i w Turkestanie; zimy były przez kilka lat z rzędu o wiele ostrzejsze niż dawniej.

— W zarządzie miejskim powstał projekt dokonania w początkach przyszłego roku, jednolitego spisu ludności naszego miasta, wraz z przylączonymi do niego przedmieściami. Spis taki dokonany był przed laty dziesięciu.

— W mieście naszym ma się wytworzyć przedsiębiorstwo wspólnej podróży na wystawę w Chicago. Przedsiębiorstwo to podejmuje firma kaucyonowana, która niezależnie od zastawu wymaganego przez władzę, złoży w banku handlowym część kapitału powstałego z opłat popieranych od interessantów z góry. Przewodniczyć ma tu ktoś obeznany z warunkami podróży i pobytu po drugiej stronie Oceanu. Wymienienie nazwiska tej osoby dodałoby przedsiębiorstwu pewności.

— Na ręce proboszcza kościoła Ś. go Krzyża nadesłał p. B., inżynier, 10 rs., jako składkę na podniesiony projekt odlania z metalu posagu Chrystusa dźwigającego krzyż a mieszczącego się w ganku wspomnianej świątyni.

— Górnicy pracujący w kopalni węgla Saturn pod Sosnowcem, zamówili u jednego z rzeźbiarzy naszego miasta ołtarz rzeźbiony w drzewie a przeznaczony do kapliczki, znajdującej się przy wejściu do szybu. Ołtarz ten, już wykończony, jest w stylu Odrodzenia, mieści obraz Ś. tej Barbary, patronki górników a zamykają go drzewiczki bogato rzeźbione.

— Warszawskie Tow. Sztuk Pięknych zamierza urządzić pojedyncze wystawy malarzy naszych. Po ukończonej wystawie obrazów Kowalskiego, który przeznaczył dochód z niej na wpisy dla ubogich uczniów, otwartą została wystawa obrazów Stachowicza. Salon Krywulta wystawił zbiór najnowszych obrazów Żmurki, Salon artystyczny spółki artystów na Nowym-Świecie urządził doroczną wyprzedaż szkiców i sztuki stosowanej do przemysłu. Przedsiębiorca amerykański zwrócił się do zarządu tegoż Salonu z propozycją powieszenia na wystawę w Chicago pewnej liczby obrazów malarzy naszych w celu spieniężenia ich, składając na pewno w Banku naszym 15.000 rs.

— Powstał projekt założenia w mieście naszym zakładu dla nieuleczalnych. Inicytorowie, na których czele stoi p. Lucyan Wrotnowski, posiadają na założenie tej pożytecznej instytucji 50.000 rs. kapitału.

— Wystawa nasion zamkniętą została. Pewna ilość okazów zboża będzie przesłana na wystawę w Chicago. Medal złoty otrzymał p. I. K. Poznański z Nienanowie, dyp. uznania przyznano p. Ludwikowi Spiss i Synowi za wzorowe utządzenie fabryki nawozów sztucznych w Tarchominie, medal wielki srebrny p. Lamprechtowi ze Sosnowic za nawozy sztuczne. Medale srebrne otrzymali pp. Wład. Kozłowski z Dębowej Góry, p. I. Zórawski ze Szczuk za jęczmień krajowy, p. Ochenkowski ze Skrzyszewa także za jęczmień, p. Wyganowski ze Zbyczyn za jęczmień. Medale srebrne za buraki i marchew pastewną otrzymali pp. Frycz z Cieszkowa, Dobrzański z Budziszewic, Gradowiec z Kilkowa. Oprócz tego przyznano kilka medali brązowych i listów pochwalnych; p. Adolf Bogucki z Bogucina otrzymał za nasiona morwy medal brązowy. Niektóre okazy zboża zostały wysłane na wystawę do Chicago, a mianowicie: pszenica Puławka z dominiów Brzezie i Wieniec p. Leopolda Kronenberga, p. Alex. Janasza z Dankowa, p. Wład. Kozłowski z Dębowej Góry; pszenica Sandomierska p. Lenartowicza ze Złotej, p. I. Dziegielewskiego z Sochaczewa.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszły z druku w Warszawie „Prawidła pisowni,”

przyjęte przez Akademię Krakowską. Wydanie jest tanie, kosztuje 2 kopiejki.

— Na dochód Tow. Osad Rolnych urządzoną będzie jak lat poprzednich serya odczytów. Zarząd Towarzystwa rozesłał już zaproszenia i otrzymał od prelegentów obietnice wywiązania się z tego dobroczynnego uczynku.

— Ruch budowlany w Krakowie jest bardzo nieznaczny, jakkolwiek według spisów ludności miejscowej wzrost jej przedstawia rocznie 20%. Ogólna liczba kamienic jest 1.700, zatem przy zwiększającej się ciągle liczbie ludności liczba kamienic powinna się powiększać rocznie o 34 nowe budynki, zwłaszcza że magistrat miasta uznaje każdego roku najmniej 10 domów za grożące zawaleniem się ze starości, które w drodze licytacji sądowej zostają też sprzedane i rozbierane, szczególnie na Kazimierzu, to jest w dzielnicy miasta VIII. W roku bieżącym uległo tej konieczności 22 domów. Stawa wprawdzie na to miejsce wiele nowych domów, ale ludność uboga, która się mieszcila jak mogła w ruderach tych starych, cierpi na tem, zwłaszcza, że magistrat ze względu na zdrowotność miasta nie pozwala mieszcic się w piwnicach suterynowych, oraz na strychach nie opatrzonych należycie. W ostatnich dziesięciu latach po odliczeniu dziesięciu rozebranych pustek przybyło Krakówowi blisko 400 nowych domów, a przypuścić można, że ruch budowlany zmoże się jeszcze z chwilą zmiany w opodatkowaniu, która ma nastąpić. Przytem zawiązało się tu kilka towarzystw zalickowych.

— Galicyjski wydział krajowy wyznaczył 4.150 zł. reń. jako zasiłek na budowę szkół w gminach miejskich. Obok tego uchwalił sejm wydatek 7.000 zł. reń. jako zasiłek bezzwrotny na budowę szkół, oraz 16.800 zł. reń. na zasiłki zwrotne, ale bez procentowe.

— Świeżo wyszły z pod prasy Rocznik Akademii Krakowskiej za rok 1891 i 1892 zawiera: skład Akademii, statut jej, obraz posiedzenia jej publicznego w Maju 1892 r., spis publikacji Akademii za rok ostatni, oraz konkursów i nagród przyznanych, odczyt Michała Bobrzyńskiego „Karta z dziejów ludu”. Wreszcie sprawozdanie ze stanu funduszy i wydatków poczynionych.

— Akademia Krakowska mianowała świeżo członkiem swoim w kommissji historii sztuki p. Alexandra Jelskiego z Zamościa pod Mińskiem.

— Z funduszu 50.000 zł. reń., przeznaczonych przez sejm na zapomogi dla gmin niezamożnych z zamiarem zakładania tam szpitali epidemicznych Wydział Krajowy przyznał kilkunastu gminom zapomogi potrzebne.

— W Ołomuńcu na dworcu kolei żelaznej świeżo obrany Arcybiskup miejscowy używający tytułu księcia, przyjmował poraz pierwszy od chwili otrzymania tej godności, rodzinę swoją przybywającą do niego z odległej, w górach położonej wioski Brzezni. Arcybiskup czekał ich na peronie, i z chwilą gdy pociąg stanął, pośpieszył ku wysiadającym, a matka ujrawszy syna w dostojnych szatach kapłańskich rozplakała się tak silnie, że syn nie mógł jej długo uspokoić. Aż wreszcie ucałowawszy jej ręce pośpieszył do ojca, którego też ze czcią synowską w ręce ucałował, i zabrał zaraz oboje do wspólnie rezydencji swojej a odzież ich były proste szaty chłopskie, matka miała okrytą głowę czarną bawełnianą chustką, jaką zwykle noszą wieśniaczki.

— Czeska Akademia Umiejętności powołała na stałych członków swoich D-ra Michała Bobrzyńskiego z Krakowa, D-ra Edwarda Rittnera i D-ra Karola Olszewskiego, czyniąc obok tego swoim członkiem korespondentem Edwarda Jelinka.

— W obserwatorium berlińskim odkryto w 1826 r. kometa, która okazała się powtórnie w 1845 roku, a wtedy dostrzeżano, że rozczepiła się na dwie części. W 1852 r., astronomowie wydali sąd, że zjawisko to niebieskie zniknęło zupełnie, przypuszczano nawet, że kierunek nowo obrany może doprowadzić do zetknięcia się jednej części z drugą, na drodze po której krąży ziemia, i w skutek tego może nastąpić uderzenie o siebie tych dwóch ciał niebieskich. Wyłomaczono sobie następnie, że rozkład komety postąpił dalej, że obecnie cząstki jej krążą pod postacią mgławic koło słońca. Potem astronomowie przypuścili, że obieg rozsypanych cząstek może się tak skierować, że nastąpi spotkanie się ich z ziemią, które też miało miejsce w 1872 r. i 1885 r., objawiając się jakoby przez spadanie licznych gwiazd. Przypuszczano, że jeżeli pozostało jeszcze coś resztek komety, spadanie gwiazd nastąpi w końcu bieżącego miesiąca. Przecież hipoteza ta nie sprawdziła się dotąd.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem **Trzy przeznaczenia**, przez Marionę Crawford, przekład z angielskiego.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

**TREŚĆ:** Postacie niewieście Tassa (Jerozolima wyzwolona), przez Helenę Ceysynger. — Dni dorocznych uroczystości rodzinnych (ze wspomnień młodości), przez Maryana Dubieckiego. — Chicago, przez B... — Mgła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 4-ty **Trzy przeznaczenia** przez Marionę Crawford. Przekład z angielskiego. Przegląd mód.—30 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycją stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 25 Ноября 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

## Korespondencya Paryzka

### Nowości na sezon jesienny i zimowy.

Najkłopotliwszą porą roku, względnie do ubrania jest sezon jesienny, ze względu na nadzwyczaj szybką zmianę temperatury i krótkotrwałość przejścia do sezonu zimowego w całej pełni.

Jako okrycia spacerowe, peleryny podwójne lub nawet potrójne, z sukna pluszu lub materiałów wełnianych gładkich są bardzo w użyciu. Służą one do każdego mniej więcej ubrania spacerowego. Za pelerynami idzie cały szereg odmiany peleryn tak zwany „cape”. Dla osób starszych „cape” krótsze lub dłuższe ozdobione galonami, pasmante-ryą, oraz wełnane długie paltoty z przodu luźne, często podszyte lekkim futerkiem, i z rękawami z pluszu lub aksamitu czarnego, albo „changeant” w kolorze odpowiednim do koloru paltotu. Żakieci dla młodszych osób cieszą się ciągle powodzeniem, tak samo jak i wysokie bufiaste rękawy, tak strojne i korzystne dla figury.

Co do futer, możemy już stanowczo uprzedzić, że najmodniejszymi są: soból, wydra i nurki, soból, mianowicie: jako obszyte okryć, przyczem nadmieniamy, że nowością

Na suknie spacerowe przeznaczone są materiały angielskie w kolorach ciemnych lub płowych, w paski w dwóch cieniach, przesztywane czasem paseczkami wypukłymi, fryzowanymi w odmiennym kolorze. Główną ich cechą ciężkość materiału, a choćby tylko pozór ciężkości.

Na туаlety domowe ukazała się nowa tkanina, bardzo oryginalna w stylu staroświeckim; na tle dwóch przerabianych kolorów, a zatem „chan-

geant mat” wiją się równoległe, gałązki kwiatków, oraz trawek zaledwie dostrzeżonych. Również nowością jest tkanina nierównie od pierwszej wykwintniejsza żeberkowa, w pasy wełniane połyskujące i w pasy czarne aksamitne. Szlafroczek z tego materiału zdobia aksamitem czarnym i takimiż rękawami.

Co do materiałów jedwabnych, najmodniejsze są mory w ciemnych kolorach w pasy jaśniejsze atlasowe.

Fulary pomimo swej lekkości utrzymują się przez jesień na wieczorne suknie; zdobia je koronkami wszelkiego rodzaju.

Materiały jedwabne „chinée” mające pozór staroświeczyzny wielce są poszukiwane, suknie z tych materiałów zdobia koronkami wiele kto ma i może staremi: jak alansony, irlandzkie i t. p.

W kroju głównie zajął miejsce styl „Empire” i „Directoire”.

Suknie przeznaczone na ulicę powinny być wykonane z materiałów grubych ciężkich, staniki do nich krojem, „tailor” a spódnice stanowczo dochodzące tylko do ziemi, a nawet krótsze na dnie błotniste lub wilgotne.

Dolną część spódnicy zwykle otacza szlak aksamitny.

Na suknie wieczorne dla młodych pańek najwłaściwsze są krepony, muśliny wełniane i woale w rozmaitych kolorach.

W Paryżu używają także bardzo wiele do ozdoby sukni i okryć galonów dyskre-



Nr 5. Patarafka ozdobiona haftem.  
(Deseń odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 77).



Nr 3. Wstążka do zawieszania nożyczek.



Nr 1. Płaszczki ozdobiony nurkami.  
(Opis pierw. str. tabl.).

Nr 2. Suknia wieczorowa z materiału jedwabnego w sznelowe pasy i z aksamitu (do ryc. Nr 22 i 24).  
Kroj odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 34—60.



Nr 4. Kapelusz ozdobiony haftem dla małej panienki.  
(Kroj, opis i deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 34—36).

nie przetykanych złotem lub srebrem. Jako nowy kolor mający tu wielkie powodzenie wymieniają „rouge cyclo-men” przesłonna mieszanina koloru purpurowego z karmazynowym szczególnie w dzieci ten wyróżnia się w aksamicie. Okaz tego koloru wielkie ma powodzenie „heliotrope” i wszelkie odcienia zielone „mousse.”

Zaznaczamy w końcu, że do sukien strojnieszyszych przyjęto na powrót pół długie rękawy a w ślad za nimi długie duńskie rękawiczki, które się wtedy jako miękkie lepiej układają; do strojnych z długimi rękawami zawsze glansowane perłowe o czarnem wyszyciu są noszone.

Niektóre modyстки chcą wprowadzić na powrót małą turniurę, mniej jednak nadzieję,

jest, skórę głowy zwierzątka umocowywać od wycięcia szyi ku plecom, co tworzy bardzo oryginalny kant nieco wygięty i wypukły, jakby rodzaj kapturka. Kołnierze futrzane, wykonane są po większej części formą „Valois,” kołnierze te, nie tylko że są bardzo do twarzy, ale i bardzo wygodne, ponieważ chronią od zimna szyję i uszy.

Wielkie kołnierze, zastąpione kołnierzami wykładanymi, nierównie zręczniejszemi, utrzymują się jednak z powodu łatwego wkładania i zdejmowania.

Ukazała się również wielka liczba futerek fantazyjnych w różnorodnych kolorach, jak: różowy z czarnym, żółty z brązowym i t. p., są to farbowane kozy i prze-ważnie używane będą do ozdoby okryć balowych lub na boa.

że ten niepotrzebny dodatek zostanie odrzucony. *Leokadja.*

### Wstążka do zawieszania nożyczek.

Rycina Nr 3.

Wstążka wykonana sposobem wiązaniem przędzą „Macramé” koloru oliwkowego, do czego umocowana tegoż koloru atlasowa wstążka 2½ c. szer. na przywiązanie nożyczek, kokardy także same, jak widzimy na rycinie.

### Patarafka ozdobiona haftem.

Rycina Nr 5. (Deseń odw. str. tabl. Nr XV, fig. 77).

Patarafka wykonana z hialej angielskiej skóry. Przenieść desę na materyał i haft wykonać rozpolowioną filozelą kolorem granatowym. Pręciki długim ścięciem a gwiazdki supełkowym złotą nitką. Otoczyć dzierganymi zębami.

### Kółko do serwety ozdobione haftem.

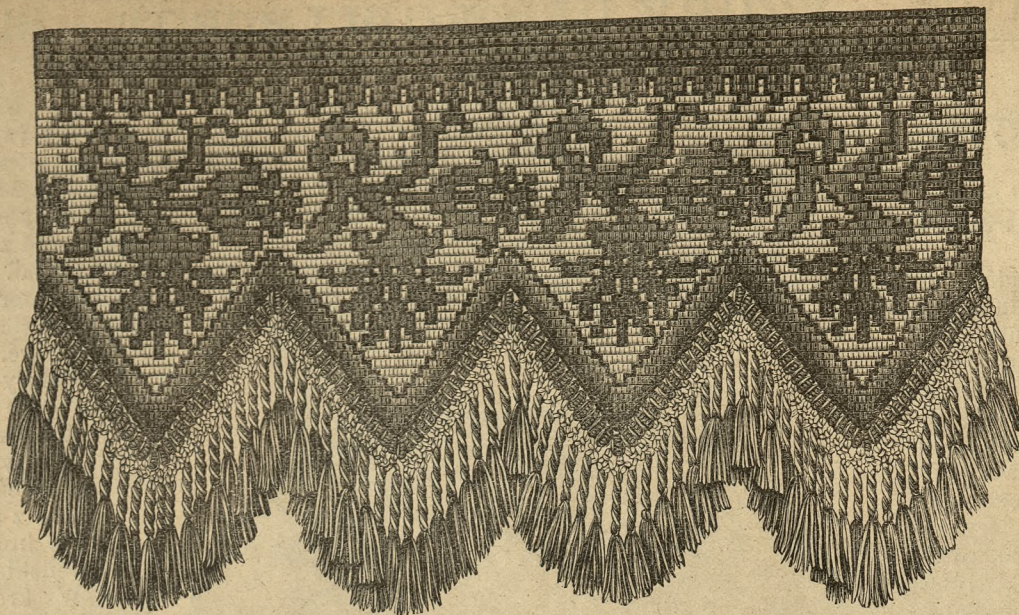
Rycina Nr 7. (Deseń odw. str. tabl. Nr VIII, fig. 39).

Kółko wykonane z tektury, szerokości z przedniej strony 8 c. a z tylnej 4 c., pokryte na zewnątrz pluszem koloru popielato-zielonego a wewnątrz papierem białym morowanym. Haft wykonać podług fig. 39 tablicy, na skórze dziurkowanej koloru żółtawego filozelą różową i oliwkową, oraz złotą japońską nitką ścięciem stebnowanym i płaskim.

### Kufereczek ozdobiony haftem.

Rycina Nr 8. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 38).

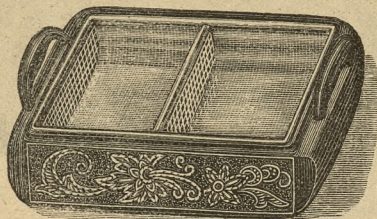
Kuferek wykonany z grubej tektury z wewnętrzną przegródką metalową i siatką drucianą. Wysokości ma 6 c. a długości 16 c., pokryty groszkowaną skórą i zaopatrzony po bokach w dwa uszka



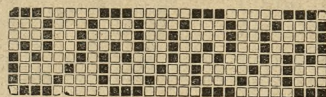
Nr 6 Szlak haftowany wraz z frendzlą. (Deseń odw. str. tabl. Nr XIX, fig. 81).



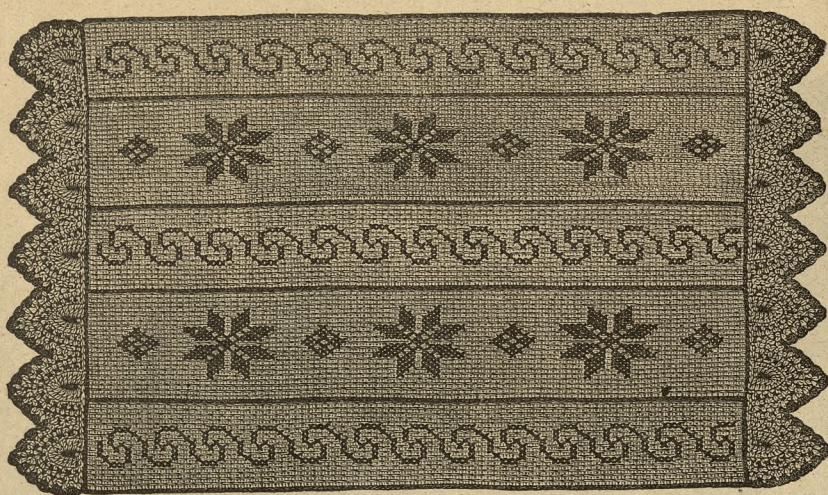
Nr 7. Kółko do serwety ozdobione haftem. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 39).



Nr 8. Kufereczek ozdobiony haftem. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 38).



Nr 10. Haft do ryc. Nr 11



Nr 11. Dywanik przed wannę (roboty szydełk. i ściąg krzyż.) do ryc. Nr 9 i 10.

ze skóry. Ściany boczne i przednie ozdobione haftem wykonanym na dziurkowanej ponsowej skórze filozelą rozpolowioną koloru poziomkowego w kilku cieniach, oraz złotą nitką ścięciem stebnowanym i gałązkowym podług fig. 38.

### Czepeczek ze wstążki i koronki

Rycina Nr 14.

Foremka z petynетки ścięta w ząb w przedniej części na 7½ c. szer., po bokach zaś 4 cent. szer. a dług. 30 c., obszyć takową drucikiem i wstążeczką i połączyć z denkiem z tiulu 6 c. wysok., 10 cent. szer. zaokrąglonym w górze. Przednia część otoczona wstążką różową 4 cent. szer., ułożoną w podwójne kontrafałdy, koronka użyta ma 9 cent. szer. a 140 c. dług., ułożona podług ryc. i umocowana w górnej części kokardą z różowej wstążki.

### Suknia wizytowa z sukna i aksamitu.

Rycina Nr 18.

Suknia z sukna koloru brązowego i aksamitu tegoż ciemniejszego koloru, ozdobiona tegoż koloru jedwabnym sutasem i perelkami matowymi złotymi. Spódnica nieco powłóczysta, zaopatrzona podszewką jedwabną, podług ryc. ozdobiona haftem i ruszą sukienną. Stanik krótki zapinany pod spódnicą, napierśnik haftowany, wyłogi aksamitne. Pasek paśmanteryjny z perelek. Rękawy, tak zwane „cloche.”

### Suknia wizytowa z materyału jedwabnego, aksamitu i koronki

Rycina Nr 19.

Suknia z materyału jedwabnego granatowego koloru. Spódnica powłóczysta z falbanką wycinaną w ząbki. Stanik marszczony, w górnej części gładko pokryty gipiurą, przybrany rodzajem krótkiego kaftanika z aksamitu ciemniejszego granatowego, rękawy podług ryciny w połowie z aksamitu a w połowie z materyału jedwabnego i koronki.

### Suknia dla dzieci od 2 — 4 lat.

Rycina Nr 20. (Krój odw. str. tabl. Nr XIII, fig. 66—68)

Suknia z materyału wełnianego koloru ponsowego. Po dopełnieniu złożenia fig. 66 i odpowiednim przydłużeniu skrajac fig. 66 jedną część, fig. 68 dwie części, każda złożona wzdłuż środka i z uwzględnieniem konturu spodniej części rękawów; podług fig. 67 dwie części z materyału podwójnie złożonego. Wykończyć sukienkę podług ryc., cyfr i znaków i ozdobić ręcznym haftem wykonanym jedwabiem.

### Suknia w stylu „Empire.”

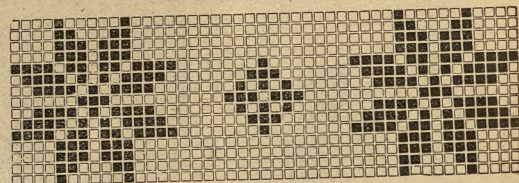
Rycina Nr 21 i 23.

Suknia z kaszmiru jasno-zielonego koloru, przybrana koronką irlandzką „crème,” oraz czarną aksamitną wstążką. Spódnica nieco powłóczysta, przybrana w dolnym brzegu koronką i czarną aksamitną wstążką. Pasek z wstążki jedwabnej zielonej, związany z przodu na kokardę. Rękawy podług ryciny.

### Płaszcz i kapelusz dla panienki od 6—8 lat.

Rycina Nr 25 i 26. (Kr. odw. str. tabl. Nr XII, fig. 61—45)

Paltocik z materyału wełnianego włochatego koloru popielatego, wyrób na dwie strony, z których podszewka w kraty lub w odmiennym



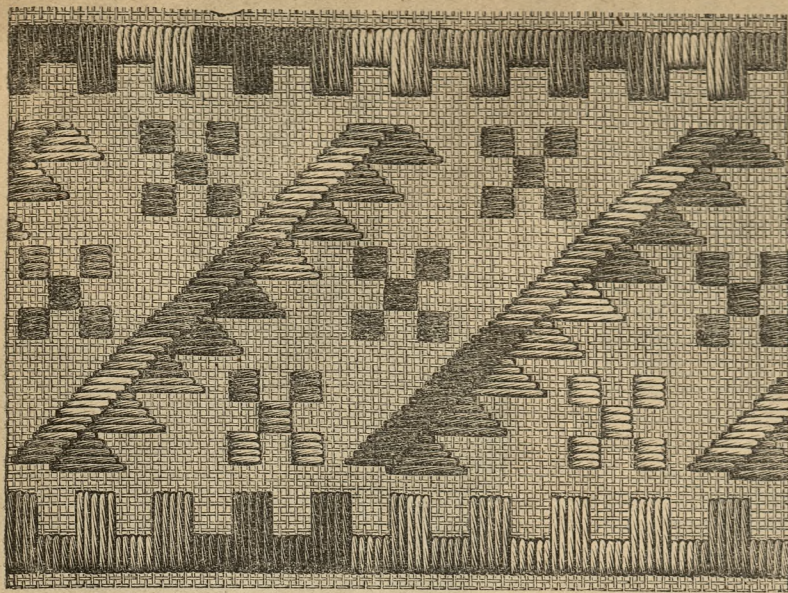
Nr 9. Haft do ryc. Nr 11.



Nr 12. Ekran przed kominek w stylu „rokoko.”

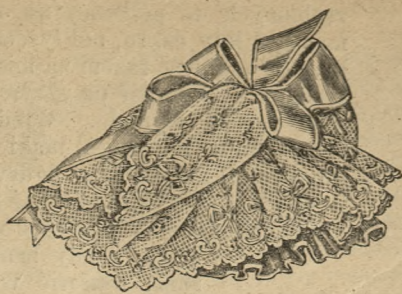


Nr 13. Suknia dla panienki od 12—14 lat. (Krój i opis odw. str. tabl. Nr IX, fig. 40—46).



Nr 15. Szlak na koszyczki do robót, dywaniki, fartuszki i t. p. (ścieg płaski)

jednostajnym kolorze. Skrajać fig. 61 dwie części. Fig. 62 i 65 po jednej. Fig. 64 dwie części złożone wzdłuż środka i rękawy podług fig. 63, ale fig. 61 i 62 odpowiednio do kroju przydłużyć a w fig. 61, 63 i 64 zwrócić uwagę na wystające kontury. Po wykonaniu nacięć w przednich częściach i wszyciu w takowe kieszeni, wykonać w plecach szew od 46 do 47, przyfastrygować, umocować każdy  $\dagger$  na kropce i połączyć plecy z przednimi częściami. Następnie lewą przednią część zaopatrzyć w guziki na 6 c. odległości od przedniego brzegu, do prawej części przyszyć listewkę z dziurkami i wszyć rękawy otoczone w dolnym brzegu jedwabnym sznurkiem. Po wykonaniu nacięć w pelerynie, otoczyć sznurkiem podług ryc. i wszyć takową. Kołnierzyk również sznurem obszyć. Przez odpowiedni rozpiętek przesunąć sznur do przewiązywania w pasie.



Nr 14. Czepeczek ranny z koronki i wstążki.



Nr 16. Torebka na roboty.



Nr 17. Suknia z bluzką szkocką dla panienki od 15 — 17 lat. (Kroj i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—12).

Kapelusz ryc. Nr 26 z filcu jasno-popielatego, przybrany wstążką koloru ponsowego 2 i pół c. szer., oraz wstążką tegoż koloru 9 c. szer.

**Suknia spacerowa z długimi połami i kapelusz dla starszej osoby.**

Rycina Nr 27 i 28.

Suknia z materiału wełnianego koloru brązowego, przybrana jedwabnym materiałem tegoż koloru i pasmanterią z sznurka czarnego jedwabnego ze sznelą. Stanik z przyszytą długą ba-



Nr 18. Suknia wizytowa z sukna i aksamitu ozdobiona haftem maszynowym.

Nr 19. Suknia wizytowa z materiału jedwabnego, aksamitu i koronki gpiurowej.



Nr 20. Suknia dla dziecka od 2—4 lat (kroj amerykański). Kroj odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 66—68.

Trzy ćwierci funta maki pszennej, 1 1/2 drożdży rozrobionych w półkwatku mleka, ćwierć funta masła, 4 łyty cukru, pół łyżeczki soli, pół łyżeczki kminku zagnieść razem na misce, wyrabiając z pół godziny i zostawić przykryte w ciepłym miejscu aby dobrze wyrosło. Wtedy wgnieść jeszcze ćwierć funta nie więcej maki i robić długie cienkie wałeczki na stolnicy podsypanej mąką, krój je na długość 6 cali, układać jeden obok drugiego na blachę i znowu postawić w ciepłym, aby się ruszyły, a gdy znać, że zaczynają rosnąć, wstawić w gorący piec na 20 minut; powinny być tylko tak rumiane jak bułka. L. C.

### Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz czysty z pasztecikami w drożdżowym cieście.
2. Sztufada z makaronem.
3. Fasola zielona z konserwy suszonej.
4. Kapłon z serdelami.
5. Szarlotka w grzankach.

Nr 21. Suknia w stylu „Empire“  
(do ryc. Nr 23).



Nr 23. Tylne części sukni Nr 21.

skinią, zaopatrzoną podszewką jedwabną. Kapelusz z filcu koloru brązowego w kształcie kapotki, przybrany galonem haftowanym złotymi perełkami, wstążką koloru brązowego, oraz tegoż koloru fantazyjnym piórkiem.

### Przepisy gospodarskie.

#### Paluszki z kminkiem do herbaty.

Wiele osób nie lubi słodkich ciastek do herbaty, podajemy więc tu przepis paluszków słonych, tak poszukiwanych w cukierniach.

Nr 25 i 26. Płaszcz i kapelusz dla panienki od 6—8 lat.  
(Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 61—65).

Nr 27 i 28. Suknia spacerowa z długą połą, oraz kapelusz.  
(Opis odwr. str. tabl.).

Nr 29 i 30. Paltot i kapelusz dla panienki od 14—16 lat.  
(Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 47—53).

Nr 22. Suknia wizytowa z materiału jedwabnego sznełowego w pasy i aksamitu.  
(do ryc. Nr 2 i 24). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 54—60.



Nr 24. Tylne części sukni Nr 22 i 2.

### Uwaga.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu“ podać się mających.